

Maria Grażyna Kawrukianiec

D. A.  
ZWIĄZKU



# OPOWIADANIA

WŁASNOSC  
POLSKIEJ Y. M. C. A.  
WE FRANCJI



NAKŁADEM BIBLIOTEKI  
POLSKIEJ W BUDAPESZCIE

20566 9  
144y

356

AE

Maria Grażyna Ławrukianiec

**D A R**  
ZWIĄZKU POLAKÓW WE FRANCJI  
7, Rue Crillon  
LYON (Rhône)

O P O W I A D A N I A

WŁASNOSC  
POLSKIEJ Y. M. C. A.  
WE FRANCJI

Prawa przedruku zastrzeżone.

N a k ł a d e m  
Biblioteki Polskiej  
w  
Budapeszcie  
1 9 4 2

Tak to już jest w życiu, Drodzy Przyjaciele, że wciąż się czegoś uczyć musimy.

Od Pani Marii Ławrukianiec, autorki tej książeczki też wiele można się nauczyć. Możemy dowiedzieć się od niej, jak słyszeć to, co mówi przyroda wielorakimi głosami swoimi.

A czy wiecie dlaczego Autorka słyszy, co mówi wiatr szeroko-skrzydły, srebrno-siwy mróz, rzeki piękna wstęga, sędziwy kilkusetletni dąb i mała różowo-biała jabłonka, a nawet milutki żuczek na jej listeczkach?

Otóż słyszy ten, kto kocha przyrodę.

Każdy z Was może tak samo słyszeć jej głosy. Może nawet usłyszeć coś nowego jeszcze, zobaczyć to, czego inny nie zauważył i dużo z tego nauczyć się.

Naprzykład duży pies, który nigdy nie rzuci się na małego pieska, choćby ten nie wiem jak go napastował, czyż nie pokazuje jakim powinien być zawsze stosunek do słabszego?

A organizacja pracy u pszczoł w ulu czyż nie mogłaby być wzorem idealnego porządku?

Popatrzmy na pracowitość mrówek, czy one znają co to jest lenistwo?!

Zapoznajmy się z termitami, które żyją w Ameryce. Umieją one budować sobie budowle tak mocne, że dynamitem ich rozsadzić nie można. Nie-jednemu budowniczemu taka umiejętność by się przydała.

Indyjski, ogromny słoń, albo Miś-niedźwiadek, w naszych górskich lasach żyjący - są to bardzo mądre zwierzęta. Gdybyśmy ich życie dobrze poznali nieraz pewnie zawstydzilibyśmy się naszych wad.

Albo kwiat - na łące, w lesie, w ogrodzie, w mieszkaniu - krzywdy nie robi - a zawsze wzrok pięknem swoim cieszy i raduje.

A naprzykład kamienna skała - czyż nie uczy nas mocy milczenia i woli przetrwania wszystkiego, co ciężkie i trudne. Trzeba się tylko wsłuchać w to, co mówią własną mową swoją szczyty Tatr - może nie-jeden z Was legendę - prawdę o Rycerzach-Mocarzach usłyszy, a usłyszawszy sam upodobnić im się będzie chciał, no... i będzie mógł.

A słońce - to radosne wspaniałe słońce, które również nic nie mówi, a świeci i grzeje i utrzymuje wszystko na ziemi przy życiu, bo bez niego i nas by nie było - czyż nie jest przykładem, że milczenie jest królewskim złotem!

I wiele, wiele innych przykładów każdy z Was mógłby dodać od siebie.

Tak, uczyć się trzeba ciągle. Nie tylko w uczycie się, chodząc do szkoły powszechnej lub gimnazjum. Akademicy uczęszczając na wyższe uczelnie, też się uczą. Musi uczyć się stale każdy, dziecko, młody, starszy, a nawet bardzo stary.

- Ale jakże to jest? - powiecie zapewne.

- Gdzież jest ta szkoła, do której chodzą wszyscy?

Otóż tą szkołą, gdzie w różnych klasach, w zależności od tego czego się już nauczyli siedzą wszyscy ludzie - to ŻYCIE. I nie ma takiego człowieka na całej kuli ziemskiej, któryby czegoś jeszcze nie miał do nauczenia się i jakiegoś egzaminu do zdania. A taki, który myśli, że już całą wiedzę posiadał, to jakiś bardzo wielki zarozumialec - ale taki chyba też nie istnieje.

- No dobrze - powiecie dalej - ale my mamy w szkole panią nauczycielkę, albo pana nauczyciela, zaś akademicy profesorów, którzy im wykładają, - jedni i drudzy uczą nas myśleć. A któż naucza w szkole życia?

I słusznie zapytacie. Na to pytanie trudniej jest odpowiedzieć. Bo chociaż jest to rzecz prosta, jednocześnie jednak trochę skomplikowana. Otóż Nauczyciel jest Jeden, ale ma On wiele najrozmaitszych postaci. Przemawia przez piękno przyrody i mądrość jej urządzeń. Przemawia przez ludzi, przez każdego człowieka. Może to być roztrzepana Marysia, skupiony Zbyszek, minister oświaty, dozorca domu, stary pszczołarz-samotnik, złodziej, szlachetny rycerz, zbrodniarz albo święty. Przez każdy uczynek dobry czy zły i przez każdego człowieka uczy nas ten Nauczyciel jak n a l e ż y p o s t ę p o w a ć, albo /~~o~~ p o s t ę p o w a ć n i e n a l e ż y. Zawsze pokazuje nam na przykładzie, co szlachetne, a co nieszlachetne, piękne i brzydkie, mocne i słabe, czym jest bohaterstwo i odwaga, a czym samolubstwo i tchórzostwo. Jak wygląda prawda i kłamstwo oraz ich skutki na krótką i daleką metę. Zaś głos jakiś wewnątrz każdego z nas, jeśli się bardzo mocno w niego wsłuchamy, odpowie nam niechybnie najszlachetniej, jakimi my sami chcielibyśmy i musimy być, czego przykładem dla innych pragnęlibyśmy stać się.

Ale czego po przez różne postacie swoje uczy nas ten Nauczyciel. Najbliższą chyba prawdą będzie odpowiedź, że uczy nas Miłości. Uczy kochać to wielkie, jedyne życie i wszystkie jego przejawy.

"Rozbij kamień, a mnie znajdziesz, rozłup drzewo, a tam będę, zajrzyj do serca człowieka, a tam jestem".

Słowa te, Drodzy Przyjaciele, mówią nam, gdzie Nauczyciela tego szukać mamy.

"Albowiem, gdzie są dwa albo trzej zgromadzeni w imię moje, tamem jest w pośrodku ich"

/ Św. Ewangelia./

Tak mówił Syn Boży - Wielki Nauczyciel świata i tam Go znajdziemy.

BIBLIOTEKA POLSKA W BUDAPESZCIE.

## JAK POWSTAŁO SŁONKO, KSIĘŻYC, GWIAZDY.

Dobry Pan Bóg dnia jednego nasz wielki świat stworzył, góry na nim poustawiał, doliny ułożył, powyznaczał rzekom drogi, morzom dał granice.

Mały Jezus na to patrzył, bardzo się zachwycał; ale ciemna była ziemia, bo nie było słońka, więc nie mogły rosnąć lasy, ni kwiaty na łąkach, ani ryb nie było w rzekach, ani ptasząt w gaju, tych, co teraz z wiosną śliczne piosenki śpiewają.

I zeszedł Pan Bóg na ziemię. Myśli, co to będzie?

Mały Jezus chodził z Ojcem i zawsze i wszędzie. Więc i teraz Pan Bóg Synka w niebie nie zostawił, dał balonik Maleńkiemu, żeby się nim bawił. I wędrują tak po ziemi, jak ziemia szeroka, a aniołki na to patrzą siedząc na obłokach.

Idą, idą, mały Jezus coś myśli, coś prawi i niebieskim balonikiem wesoło się bawi. Podniósł główkę swą wysoko i widzi, że w górze siedzi sobie mały anioł na ogromnej chmurze. Siedzi sobie jakiś smutny, jakiś zadumany więc zawołał nań Jezusek:

- Aniołku kochany, widzisz, jaki mam balonik? - rzucę go do ciebie! teraz ja tu jestem w dole, ty siedzisz na niebie, to będziemy podrzucali mój balonik mały!

Wnet smutnemu aniołkowi oczka pojaśniały!

Toż to ślicznajest zabawa balonem niebieskim! Już smutnemu aniołkowi wyschły w oczach łezki,

uśmiechnął się do Jezuska i zerwał się z chmu-  
ry.

- Łap! - zawołał mu Jezusek i rzucił do gó-  
ry swój balonik, a ten szybko, coraz szybciej  
leci, coraz większy rośnie, rośnie, coraz pięt-  
niej świeci.

Już się jasność z balonika rozplywa dokoła!

- Ach, jak ślicznie!

Ojcze, zobacz - mały

Jezus woła!

Spojrzał Pan Bóg na promienie, co się w krąg  
rozsiały:

-Niech na zawsze tak zostanie twój balonik  
mały, niech ogrzeje ciepłem ziemię, życie na  
niej zbudzi, niech rozjaśnia smutne twarze tych,  
co będą, ludzi.

Niechaj wiedzą, że z rąk Syna piękny ten dar  
mają, niechaj świeci złote słońko wszystkim  
ziemskim krajom.

I zostało już słoneczko, i w dzień chodzi  
sobie...

Mały Jezus teraz myślał:

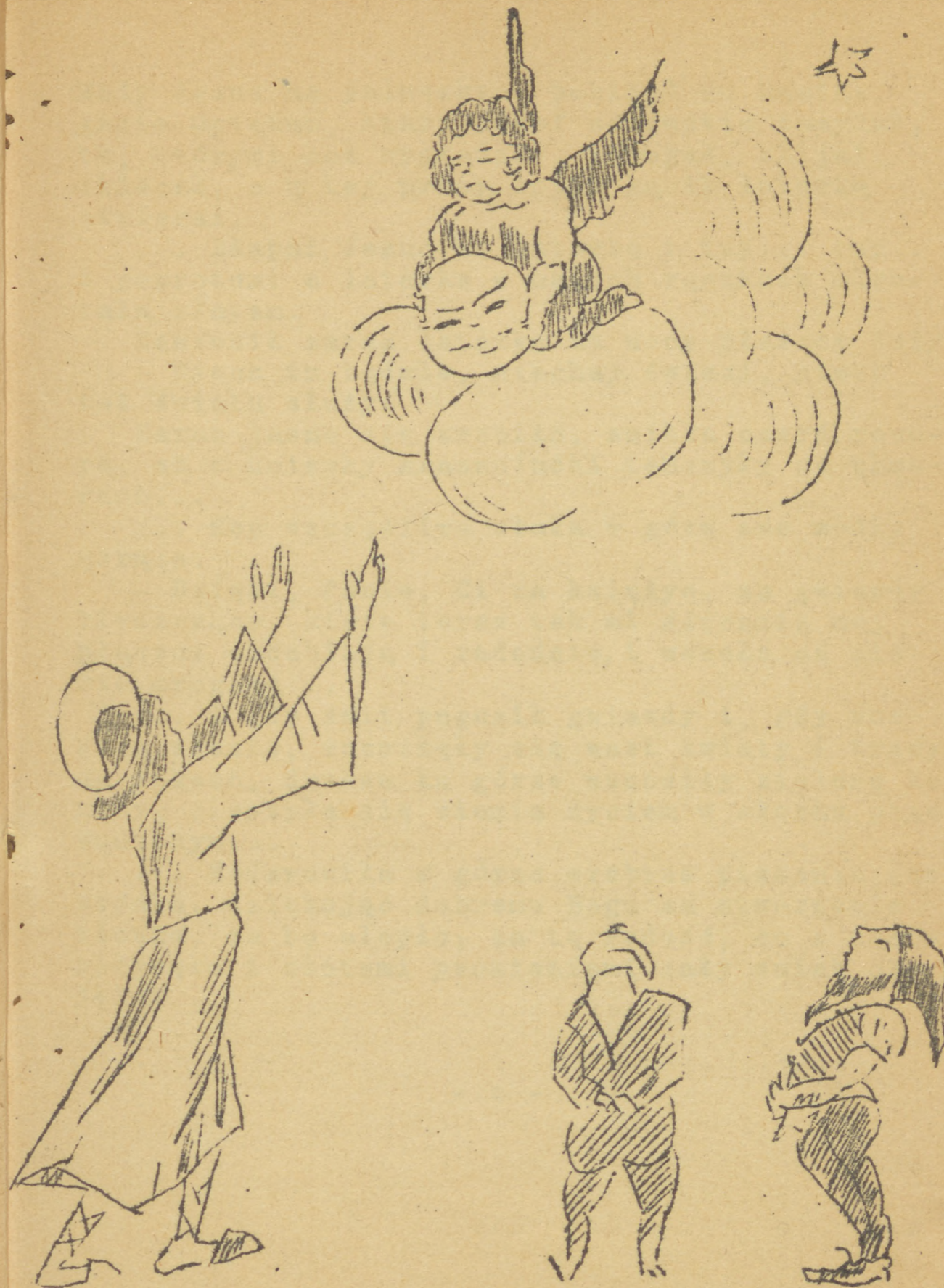
Co tu z nocą zrobić?

Bo noc jeszcze była czarna, nic w niej nie  
świeciło, a Jezusek chciał, by z nocą też się  
coś zmieniło; więc zawołał dużo, dużo małych  
krasnaludków, czegoś do nich się uśmiechał, coś  
szeptał cichutko, coś w kąciuku majstrowali Je-  
zus i krasnale: dużo błyszczących gwoździków  
w rączki nazbierali.

I, gdy tylko zaszło słońko, a noc przyszła  
czarna, i płaszcz jej swym ciemnym puchem cały  
świat ogarnął, wyruszyły krasnaludki na swoją  
robotę:

gęsto, gęsto powpinały te gwoździki  
złote do czarnego płaszcza nocy...

Noc patrzyła cicho i ze szczęścia, i z zach-  
wytu nie śmiała oddychać... Tylko mgłą się owi-  
nęła, jak lekkim welonem, tylko rączki swe zło-  
żyła rosą uperlone...



Mały Jezus na paluszkach pobiegł do kącika, gdzie Opiekun, stary Józef narzędzia zamykał, te, którymi coś wygładzał, strugał, zbijał, sklecał, a w tej pracy sobie kącik latarką oświecał.

... Złapał Jezus tę latarkę i tup... tup.. z powrotem! a latarka w małych rączkach migotała złotem.

Zawiesił zaraz latarkę na nocy płaszcz duży.

- Niech tu będzie, niechaj świeci, niech też światu służy.

Zaraz jasno się zrobiło, znikła czerń ponura, aż z uciechy krasnoludki tańczyły na chmurach...

... Noc szczęśliwa słała w górę swe modły gorące:

- Dziękuję, Panie, Ci za księżyc, za gwiazdy błyszczące, które teraz tak mi słicznie mój płaszcz ozdabiają i radośnie, i wesoło na niebie mrugają...

... A gdy świt pogasił gwiazdy i, gdy wzeszło słońko, rozwinęły się wnet kwiaty i trawy na łąkach, drzewa ku górze wznosiły zielone korony, cieszyła się ziemia życiem w słońku przebudzonym...

... Zadzwońska w górze srebrna piosenka skowronka, dziękując dobremu Bogu za stworzenie słońka, za to ciepło, za tę radość, co z nieba spłynęła i złotymi promieniami cały świat objęła.

DLACZEGO ZIMA BIAŁA DŁUGO DO NAS PRZYJŚĆ NIE  
CHCIAŁA.

Siedzi sobie Zima na północnym biegunie,  
pilnie na świat patrzy i liczy:

- Raz, dwa, trzy... To już wiosna minęła,  
przyszło lato gorące.

I znowu:

- Raz, dwa, trzy miesiące... To już po le-  
cie! Teraz jest jesień przecież!

Gdy do jesieni doliczyła, z lodowego tronu  
zeskoczyła i woła:

- Hej! - śniegowe bałwanki, szykujcie nowe  
sanki, ładujcie wory śniegiem! - na świat ru-  
szamy biegiem!

Toż to się zaczął ruch!

Zapakowali śniegowy puch, sople lodowe za-  
pakowali i w długą podróż wnet się wybrali!

Za Zimą wyruszyła i Śniegowa Zawierucha,  
i Wichura wyjąca, i Siwy Mróz.

Siedli na lodową krę, soplem lodowym, jak  
wiosłem się popychają, z mgieł gęstych żagle  
mają, wichurą się popędzają i już, już do Pol-  
ski dojeżdżają!

A Zima wciąż popędza:

- Prędzej! - Prędzej! - Toć to już listopad,  
liść z drzewa dawno opadł. Toć już po jesieni,  
trzeba świat odmienić! wybielić wkrąg śniegiem!  
Biegiem! Biegiem! Biegiem!

Raptem jeden śniegowy bałwanek, co go ze-  
szłej zimy ulepił mały Janek, woła:

- Pani Zimo, pani Zimo, proszę się trochę  
zatrzymać, bo tu fala morska już po polsku ga-  
da i o czymś cichutko, szeptem opowiada. Trzeba  
ją zrozumieć, trzeba ją usłyszeć, proszę nie

gnać sanek, proszę się uciszyć!

Słuchają wszyscy ciekawie, a fala morska  
tak prawi:

- ...Zegnano bydło z łąki, zebrano wszystko  
z pola... kto w własnej chacie mieszka, oj, do-  
bra tego dola... I ciepło mu i syto, z uśmie-  
chem zimę wita...

- Kto nie ma własnej chaty i nic nie zebrał  
z pola, oj, martwi się i trapi, oj, ciężka je-  
go dola! Oj, idzie sroga zima, oj, jakże ją  
przetrzymać? Ni chaty, ni odzieży... oj, ciężko  
będzie przeżyć!...

Słucha Zima, słucha... i coraz jej smutniej  
od tej piosenki, a Jankowemu bałwankowi już  
łezki z oczu kap... kap... kap... Żal mu tych  
ludzi, którzy się do niego nie będą uśmiechać,  
żał mu tych dzieci, co nie będą mogły saneczka-  
mi jechać! Tylko się będą w kącie zimnej izby  
tulić, tylko się będą w starą chustę mamy patu-  
lić i wiosny czekać i ciepłego słonka.

A Zima pyta:

- Powiedz, falo, powiedz, skąd masz tyle no-  
win, gdzieś to bywała, żeś tyle widziała?

- Przyszły do mnie rzeki, co przebiegają  
świat daleki...

- Przyszły do mnie chmury, co na świat pa-  
trzą z góry... i one to mi opowiadały, ile smut-  
ku na ziemi widziały! Nie poganiaj, Zimo, sani,  
nie poganiaj! Tyle dzieci jeszcze nie ma cie-  
płego ubrania! Proszę cię bardzo, Zimo Biała,  
żebyś twój pochód trochę wstrzymała....

Rada w radę... mówi Zima:

- Dalej nie jadę!

A tymczasem w całym kraju bezlistne drzewa  
czekają:

Kiedy przyjdzie Zima? - Kiedy będzie można  
od niej śniegowe kożuszki otrzymać? -

A tymczasem w całym kraju zielone oziminy  
czekają:....

- - Kiedy przyjdzie zima, kiedy można będzie od niej śniegową pierzynkę otrzymać?...

A tymczasem w całym kraju dzieci z niepokojem czekają:...

- Kiedy przyjdzie śnieg i mróz, żeby można było już z górki zjeżdżać sankami, po lodzie gnać łyżwami!?

A w niebie święty Mikołaj coraz to aniołka do siebie woła i radzą:

- Isć?

- Nie isć?!

- Isć?

- Nie isć!

- Bo jakże tu isć, gdy nie można wyjść? Przecież zawsze sankami zjeżdżamy do dzieci z podarunkami!

- Słuchaj, aniołku, ty, co siedzisz na tobołku z zabawkami, wyjrzyj na świat, może już śnieg spadł?

Przeskoczył aniołek przez jeden, drugi tobołek, rozsunał chmury, spojrział na świat z góry.

- O, święty Mikołaju, nawet się nie wybierajmy! Szaro, pusto, ponuro, chmura goni za chmurą, deszcz wciąż kapie i kapie! Błotem się cały schlapiesz, zniszczysz swoje białe futro! Czekajmy jeszcze do jutra!

Czekają... czekają... od jutra, do jutra podróż odkładają, a Zimy jak nie ma tak nie ma!

Wreszcie święty Mikołaj nie mógł już dłużej wytrzymać i mówi do aniołka, tego z choinki wierzchołka:

- Muszę sam Zimę zapytać, czemu nie chce do Polski zawitać? I nocą, kiedy mały śnieżek padał, zeszedł nad morze, przywołał Zimę, a ta mu opowiada o tej morskiej fali, co się tak nad ludźmi żali, o tem, że się bardzo namyśla, czy dobrze zrobiła, że od bieguna aż tu przyszła, bo teraz żal jej tych dzieci, co nie mogą na kominie ciepłego ognia rozniecić, co się

tak lękają jej, Zimy, bo o chłdzie i głodzie trudno im wytrzymać.

... Myślał, myślał święty Mikołaj, a potem się uśmiechnął i zawołał:

- Nie martw się, Biała Pani! - poganiaj swoje sanie, bo choć tyle biedy w świecie, są i dobrzy ludzie przecież!

Znam ja w Polsce ludzi, znam ja w Polsce dzieci, nie trudno w ich sercach żar współczucia rozniecić, jedno drugiemu pomoże, ruszajcie, w imię Boże, ruszajcie w drogę śmiało, a z wami i nam się raźniej będzie jechało.

Posłuchała Zima Biała i jak popędzi przez światy! jak wpadnie między wiejskie chaty! jak nie sypnie śniegiem! -

Zasypała i pola, i lasy, i chaty; całą ziemię przystroiła w kożuch bogaty!

Jednego dnia wszystko odrobiła, choć się tak bardzo, bardzo spóźniła.

- o -

WŁASNOSC  
POLSKIEJ Y. M. C. A.  
WE FRANCJI



## MROZOWA PIOSENKA.

Opatulony kożuchem Mróz dziś nocą na plecach  
niósł wypchany lodem miech. Idzie i patrzy:  
coby tu lodem przykryć? - gdzieby tu dać lodo-  
we szybki?

Wszedł w duży las, a ten mu szumi:

- Idź, Mrozie, dalej, idź, Mrozie, dalej  
Mnie twoich szybki nie trzeba wcale,  
Czekam, aż śnieg mnie nakryje puchem,  
Otuli drzewa ciepłym kożuchem.

Idź, Mrozie, dalej, idź, Mrozie, dalej,  
Bo mi twych szybki nie trzeba wcale!

Idzie Mróz... idzie... aż wyszedł na łąkę  
i patrzy: coby tu przykryć lodowymi szybkami?

A łąka mu szepce cichutko:

- Idź, Mrozie, sobie, idź, Mrozie, sobie,  
Tu nic z szybkami swymi nie zrobisz,  
Czekam, aż spadną białe śnieżynki  
I mnie przykryją ciepłą spieżynką.  
Idź, Mrozie, sobie, idź, Mrozie, sobie,  
Bo nie masz co tu z szybkami robić!

Więc dalej poszedł. I przed samą nocą do  
jednej wsi doszedł. Przystanął. Rozgląda się,  
czy tu się jego szybki na co nie przydadzą,  
a tu chaty wychodzą na jego spotkanie. Białymi  
ścianami się uśmiechają, słomianymi strze-  
chami nisko się kłaniają i bardzo grzecznie  
mówią:

- Jesteśmy chaty, wieśniacze chaty,  
Nie stawaj przy nas, Mrozie brodaty!  
My swoje ze szkła szybki już mamy,  
Nimi na pola, hen, wyglądamy;  
W nas rosną dzieci, wiesz? - małe dzieci  
W nas się ogniska miły żar nieci,

Jeśli się oprzesz o nasze ściany,  
Popłyniesz wodą, Mrozie kochany,  
Jeśli na szybkach szkło nam zasujesz,  
Kwiaty i trawy swe narysujesz,  
Jak będą dzieci na świat patrzyły?  
Idź sobie dalej, idź, Mrozie miły!

Posłuchał Mróz rady wiejskich chat i wyru-  
szył dalej w świat. Idzie... idzie... i wciąż  
się rozgląda: gdzieby tu szybki lodowe położyć?  
Wreszcie nad staw się cichutko skradł... siedł  
... i patrzy... patrzy...

Tu się woda rusza, tam się woda rusza...  
Zaczyna Mróz swoją lodową piosenkę mruczeć:  
- Zaśnij, wodo, zaśnij, wodo, dam ci ładną  
szybkę z lodu, zaśnij, wodo... mruczy Mróz...  
A woda ani rusz! wciąż o brzegi plusk, plusk...  
Rozgniewał się Mróz!

I łap za swój ogromny wór! i dalejże jedną  
po drugiej szybki lodowe wydobywać! i dalejże  
nimi wodę przykrywać!

Szybko, szybko, coraz szybciej

Układa na wodzie szybki:

Jedną przy drugiej!

Jedną na drugiej!

Układa, układa... i szepce... i gada...

- Zaśnij, wodo, zaśnij, wodo, okryję cię  
szybką z lodu,  
Potem śniegiem cię przyprószę, nie będziesz  
się mogła ruszyć;

Zaśnij, wodo, zaśnij... zaśnij... bo ci po-  
ra zasnąć właśnie,

Bo ci, wodo, spać już czas; śpią już pola,  
śpi już las...

Krasnoludki śpią pod ziemią, czas i tobie,  
wodo zdrzemnąć...

Słucha woda... słucha woda... coraz ciszej  
pluszcze... przegląda się w szybkach lodu, ni-  
by w dużym lustrze. A Mróz wciąż mruczy...  
a Mróz wciąż mruczy... Chciała się woda tej

piosnki nauczyć, chciała się dowiedzieć o le-  
sie, o łące, i czemu teraz nie grzeje słońce,  
i czemu zimą wiatr ostry dmucha...

Nie zdążyła do końca piosenki wysłuchać...

Bo Mróz mrucał coraz ciszej...

coraz ciszej...

coraz ciszej...

A gdy zapytał:

- Wodo, czy mnie słyszysz? -

Woda mu nic nie odpowiedziała, bo pod lodo-  
wą szybką cichuteńko spała.

- o -

## STASZEK I MRÓZ.

Zima. Dzionek wstał wesoły.

Tup, tup!.. Idzie Staś do szkoły. Po nos  
wlaźł do kożuszyny, w butach toną mu nożyny,  
a na głowie aż się słania ogromna czapa bara-  
nia! Z pod niej widać tylko oczy!

Dumnie Stacho drogą kroczy!

- Bo to czapa jeszcze brata! co ją nosił  
przez dwa lata!

- A ten kożuch ciepły, duży, czasem to i ma-  
mie służy!

- A te buty! - nie byle co! - same nogi  
w nich w dal lecą, a na każdym cztery łaty, bo  
to stare buty taty!

Tato nosił je przez lato, Staszek nosi zimą  
za to.

...Dziwy... dziwy... wokolutko cicho... mroźno,  
i bielutko... Mróz, co przysiadł tuż nad wodą,  
patrzy... trzęsie siwą brodą..!

- Co? - ten Staszek, ten maleńki, co tak  
biegnie w dal z pośpiechem, nic, a nie się mnie  
nie boi? - Złapię ja go w ręce swojej! zamrozę  
go swym oddechem!

I... łaps! chwyta go za nogi!

Aż tu buty krzyczą:

- Z drogi! My jesteśmy buty taty, każdy z nas  
ma cztery łaty. Tato nosił nas przez lato, Stach  
nas nosi zimą za to. Obronimy Stacha nogi!  
Precz, zły Mrozie, precz nam z drogi!

- Uuu... uuu... dmuchnął Mróz ze złości -  
przejmę go chłodem do kości, zmrozę ręce, zmro-  
zę głowę, w szron ubiorę włosy płowe!... A ten  
kożuch ciepły, duży, co to czasem mamie służy,  
jak się na mróz nie oburzy!

- A ty, Mrozie, ty ladaco, chcesz mi Stacha zmrozić? Za co?! Nie pozwolę! Toż to sama kładła mię na Stacha mama! Trzy mnie razy okręcała, ciepłą chustą podwiązała i strzec Stacha nakażała, i ochraniać go od chłodu!

A ta czapa, ta barania, co na głowie aż się słania, jak ci krzyknie!

- Ach, ty zły Dziadu-Mrozie, takiś ty?! chcesz mi zmrozić Stacha głowę? chcesz oszronić włosy płowe? O! - na honor starej czapy, nie uda ci się to, nie! - a od czego Stach ma mnie!?

... Tup... tup... biegnie Stach ścieżyną... już i stare wierzby minął, już się mrozu nie boi, już na progu szkoły stoi.

Składa książki, zeszyt składa, wszystkim dzieciom opowiada, jak do szkoły biegł, co siły, jak od chłodu go broniły:

ot, ta czapa, ta barania, co się aż na głowie słania,  
bo to stara czapa brata, co ją nosił przez dwa lata! -  
i ten kożuch ciepły, duży, co też czasem mamie służy,  
i te stare buty taty, choć mają po cztery łąty!

- o -



## PO ŚNIEŻYCY.

Śnieżyca z Wiatrem nocą tańcowała! Drożyny, ścieżki zupełnie zawiąła.

Rankiem, gdy tylko świtać zaczęło, zmęczona za płotem sobie przycupnęła i patrzy w koło:

- Biało... biało... biało...!

Z wczorajszej drogi śladu nie zostało!

- Deń... deń... deń... Sanki jadą! W sankach dzieci gromada. Gwar i śmiechy wesołe!

- O, tam już widać szkołę!

Deń... deń... deń... przyjechali! Woźnicy podziękowali i dalejże! hop z sanek! Pierwszy zeskoczył Franek; odrazu buch! w śnieg po uszy, trudno się nawet ruszyć, tak zapadł w biały puch.

Śmiech, gwar, radość dokoła! Aż Janek głośno zawołał:

- Za dwie godziny przyjdą pierwszaki, jakże dobrną do szkoły, gdy śnieg głęboki taki!?

- Hej, chłopcy, hej, dziewczyny, dalcjże za łopaty! przekopiemy ścieżynę od szkoły do pierwszej chaty!

Szur, szur, w lewo! Szust w prawo!

To ci śliczna zabawa!

- Który dalej?

- Kto szerzej?

- A kto więcej zabierze?

Dziewczęta łaps za miotły! ślicznie ścieżkę rozmiotły, a najszabsze, te małe piaskiem ją wysypały!

- Przyjeżdżajcie, pierwszaki! - macie gościnniec taki, że można gonić po nim nawet i w cztery konie!

- o -

## O ZIMIE I WIOŚNIE.

Chodzi po ziemi surowa zima, w lodowych rękach mocno świat trzyma: związała rzeki lodu powrotem, sypnęła śniegiem, chuchnęła mrozem, szron rozesnuła po wszystkich drzewach i tylko wichrom pozwala śpiewać.

Grubym kożuchem okryta ziemia, pod nim i trawy, i kwiaty drzemią, i myślą sobie, że znowu z wiosną ślicznie rozkwitną, bujnie wyrosną.

A zima patrzy, a zima bada, po lesie chodzi, nad rzeką siada; tu śniegiem sypnie, tu lodem skuje, tam z zawieruchą w polu tańczy.

W tem patrzy... patrzy... -

- A to co znowu!? Któż to spod śniegu unosi głowę? Kto się osmiela na świat wyglądać! Kto się sprzeciwia mrozowym rządóm?!

Nisko do ziemi chłodem przypadła, przy nowym gościu pod lasem siadła i pyta:

- Ktoś ty?!

- Ja jestem wiosna! - będę na łące kwiatami rosła, będę szumiała rzeki wodami, będę zieleń drzew koronami! Dziś przebij śnieżkiem chcę prosić pięknie: Ustąp mi miejsca, ja się nie zleknię ni twoich szumów zimnej wichury, ni twojej ciężkiej, śniegowej chmury; śniegi roztopię, chmury rozwieję, ściszę wichury, lody rozgrzeję. I będę sobie po ziemi chodzić, będę po rzekach nóżkami brodzić, rozwinę listki na śpiących drzewach, nauczę nocą słowiki śpiewać. Usuń się, zimo, zabierz swe lody, pozwól mi obmieść z śniegu ogrody, już czas mi zacząć w polach oranie.

- A ja nie pójdę! a ja zostanę! - krzyknęła

DAR  
ZWIĄZKU POLAKÓW WE FRANCJI  
7, Rue Crillon  
LEON (Rhône)



zima silną wichurą. Zatrzęsła ciężką, śniegową chmurą, aż białe płatki z niej pospadały i śniegiem ziemię poprzykrywały.

Wiosna się wcale tym nie zmartwiła, po świeżym śniegu śmiało chodziła, a gdzie stanęła jej nóżka bosa śnieg się zamieniał w błyszczącą rosę.

Szepnęła szumem brzozy gałązek:

- Zostanę, taki mój obowiązek, więc na nic gniew się nie przyda tobie, lepiej idź, zimo, za morza sobie.

Zima w twarz wiosnie śniegiem rzucała! - ta się jej z łaki kaczeńcem śmiała, zawieją śnieżną buzią umyła i, ... skowronkowym śpiewem dzwoniła.

Przybiegła zima nad śpiącą rzekę, a ta już nie śpi, już w świat ucieka!

- Gdzie płyniesz!?

Zaśnij, bo ja tak chcę!

A rzeka szumi:

- Nie zimo, nie, już czas mi falą płynąć srebrzystą, już czas rozlewać się wodą czystą, czas, by do morza biegł mój nurt szybki...

- Oddaj mi moje lodowe szybki, com je tak pięknie poukładała, gdzieś mi moje szybki zabrała?

- Krami spłynęły szyby lodowe, wodą przeciekły puchy śniegowe, o, lepiej, zimo, siadaj na fali, płynmy na północ, od wiosny dalej, widzisz, nie można jej w pracy szkodzić, widzisz, po polach zaczęła chodzić, widzisz, już śmieje się fijołkami, powiewa ku nam brzozy listkami... słyszysz, jak szumią skrzydła ptaszęco?

tu już twych rządów nie trzeba więcej!..

Tak szumi rzeka, tak prosi rzeka, a zima mówi:

- Jeszcze poczekam, jeszcze się nocą położę szronem, jeszcze zamrozę listki zielone, jeszcze

na szpaki zawieją rzucę, jeszcze bociany z drogi zawrócę!

Śmieje się wiosna:

- Już nie dasz rady! Hej, zimo, lepiej nie szukaj zwady, czyż nie rozumiesz, że na mnie czas zbudzić do życia drzemiący las, widzisz, już rzeka ciebie nie słucha, widzisz, ucichła już zawierucha, widzisz, nie zmarzły listeczki moje, widzisz, ja bosko na lodzie stoję, i swoją pracę dalej prowadzę. Usuń się, zimo, dobrze ci radzę. Wrócisz, gdy na cię pora nadejdzie, gdy lato minie i jesień przejdzie, gdy wichor drzewom liście pozrywa, wrócisz, i będziesz znów rozkazywać.

Złości się zima, wichrem tańczy, a wiosna sobie pilnie pracuje: co zima zmrozi, wiosna ogrzeje, ciepłym powiewem z południa wieje, porzą zachodnią niebo maluje, mgłami siwymi nocą wędruje. Wije gniazdeczka, pączki rozwija, maluje tęczę skrzydłom motyla, hej, wiele trudu i wiele pracy!

A zima słucha! a zima patrzy!

i zrozumiała, że nie da rady, nie spłoszy wiosnie ptasząt gromady, nie stłumi śpiewu, kwiatów nie zwarzy, nie zbroni rzece falami gwarzyć.

Zebrała szybko swoje manatki, zapakowała śniegowe szatki, nocą, gdy ziemia cichutko spała, zima na północ powędrowała.

A gdy się ranne zorze zbudziły, już się po zimie ślady zgubiły, zarosły trawą, zasnuły mgłami, rozkwitły w polu niezabudkami.

- o -

## JAK SIĘ ZIMA BIAŁA W WIOSENNE SZATKI PRZEBRAŁA.

Opatulona kożuchem zima na lodowej górze siedzi i biedzi się, bardzo biedzi...

Bo jej rankiem z południa wiatr przyniósł nowinę, że wnet trzeba już będzie swe obozy zwinąć. Czas pakować manatki, przygotować san-ki, a do nich pozaprzęgać śniegowe bałwanki i odjeżdżać na północ. A żal przecież będzie kraj polski już opuszczać. Tak tu pięknie wszędzie.

Tam śpią lasy w zimowy kaptur otulone, tu pod białą pierzynką śpią łąki zielone, a pod lodu pokrywą rzeki się schowały. Kędy spojrzysz, tak wszędzie cichutko, tak biało...

- I jak tu stąd odchodzić, i nie płakać z żalu? ej, wolałabym - mówi - nie odchodzić wcale.

- Oj, za ciepło ci będzie w twoim kożuszku!

- To go za chwilę zdejmę, ot i wszystko!

- Toć prócz kożucha masz też i kaptur śniegowy.

- Nie boję się gorąca, zdejmę kaptur z głowy!

I zrzuciła swój kaptur, a wiatr południowy zaśmiał się i roztrzepał jej włosy na głowie...

W lesie mrucały drzewa:

- Ciepło, że trudno wytrzymać! Patrzcie, swój kapturek już zrzuciła Zima, więc strzepy i my prędzej śniegowe kaptury, wyprostujmy gałęzie, unieśmy je w górę, niechaj soki już zacząć krażyć w naszych żyłach. Zrzucmy kaptur, wszak Zima to samo zrobiła!

- Czujecie? - mówią dzieci - słońko już



cieplej świeci, ale co zima, to zima; lód jeszcze dobrze trzyma, choć słońko mocniej grzeje, choć wiatr z południa wieje!

... Siedzi Zima w kożuchu na lodowej górze, aż... coś się nad jej głową rozdzwoniło w chmurze, uniosła więc swą główkę, spojrzała ciekawie:

- Dzwoneczku, co tam dzwonisz, chodź się ze mną bawić!

- Wcale nie jestem dzwonek, tylko ptaszek, skowronek, przyleciałem z daleka, nie mogłem dłużej zwlekać, tęskniłem do swej roli; już tutaj marznąć wolę, niż tęsknić za morzami, już tu zostanę z wami! Jakże się z tobą bawić, gdyś tak opatulona?

Zrzuciła Zima kożuch... a trawka zielona też zrzuciła pierzynkę, do słońka spojrzała,

- Dzień dobry, ci, skowronku, witaj! - zawołała.

- Patrzcie! - dzieci wołają - na polach śniegi znikają!

- Mój bałwanek, co wczoraj tak dumnie stał w czapie, dziś już zdjął swój kapelusz i... z nosa mu kapie! i cała struga wody po futrze mu płynie, jeśli tak ciepło będzie, mój bałwanek zginie!

Minał jeden dzionek, minął drugi dzionek, nad polami piosnkę swą dzwonił skowronek; a wiatr południowy coraz cieplej dmuchał. Taką piosnkę zimie wciąż szeptał do ucha:

- Odejdź, Zimo, czas już, Zimo, skończone twe panowanie, patrz, już rzeki lód nie trzyma! Teraz wiosny czas nastanie. Zaraz boćki do gniazd wrócą, zaraz kwiaty się rozwiną, gdy słońko ciepła dorzuci, przyjdzie ci tu, Zimo, zginąć!

- Dlaczego mi dokuczasz, wietrze południowy?  
- Patrz, zrzuciłam już kożuch, zdjęłam kaptur z głowy; pozostała mi tylko ta suknia lodowa,

futrzane rękawice i buty śniegowe.

...A wiatr jej znowu mówi:

- Dopóki nocami chodzi jeszcze twój sługa, przymrozek, po świecie, przykrywa płytkie wody lodowymi szklami, póty ci jeszcze łatwo odejść, Zimo, przecież. Ale, gdy pierwsza burza zruszy ziemię grzmiotem, kiedy ją pierwszy deszczyk rześście pokropi, będzie wtedy za późno, Zimo, do odwrotu. Słońko ci twoją suknię lodową roztopi, po twych butach zostaną tylko mokre ślady. Rękawice się zniszczą! - posłuchaj mej rady: uciekaj o przymrozku po zachodzie słońka!

- Nie odejdę! - czar na mnie rzucił śpiew skowronka i zapach ornej ziemi, i te słońka wschody... jakże mi, mój wietrzyku, od nich tak odchodzić? Zostanę! i zobaczysz, jutro o poranku tobie, skowronkom, polom zrobię niespodziankę!.....

Nad śpiący świat wybiegła właśnie ranna zorza, kiedy się ze snu także Zima obudziła. Szybko swe buty zzuła, rękawice zdjęła i, śmiejąc się, na fale rzeki je rzuciła. Tańczyły chwilę fale, szemrały, radziły, aż buty, rękawice Zimy pochwyciły i z ostatnimi krami poniosły do morza. A już się właśnie słońko zaczęło wynurzać.

- Bardzo cię grzecznie proszę, kochane słończko: pomóż mi zdjąć tę z lodu moją sukieneczkę. Chcę, nim się wietrzyk południowy zbudzi, nim się w swych chatkach zaczną krzątać ludzie, zrobić im wszystkim niespodziankę małą!

Słońko się złotem promieni zaśmiało i...raz, dwa... suknię lodową stopiło!...

- Patrzcie! patrzcie, co się na świecie zrobiło! - wołały dzieci, rankiem biegnące do szkoły.

- Patrzcie, jak ciepło, słicznie dookoła!

- A gdzie się nasza Zima zapodziała? -

wczoraj tu jeszcze na polu siedziała!

Od tego ich wołania, od radosnej wrzawy zbudził się wreszcie wietrzyk i, strasznie ciekawy, przewrócił trzy koziolki, otrząsnął sen z oczu i, co się dzieje z Zimą, zobaczyć poskoczył. Przybiegł do miejsca, w którym to z Zimą rozmawiał, do podróży na północ uciekać namawiał. Patrzy! - i aż dech wstrzymał, i oczom nie wierzy!

Zamiast lodowej góry pień olbrzymi leży, a dookoła go wiankiem oplotły przyłasczki. A na nim... ktoś to siedzi?! - i radośnie klaszcze drobnymi rączkami i śmieje się szczerze?!

- Wiosna?!

- Zima?!

- Toć Wiosna!

Sam sobie nie wierzy! Podbiegł bliżej i patrzy.

- Toć wczorajsza Zima! Tylko z lodowej sukni ani śladu nie ma! Zielone gieżko na niej ślicznie się rozwiewa i aż po bosc nóżki całą ją okrywa. Tęczowym paskiem miękko gieżko przewiązała, a bosc stopy w trawkę młodziutką schowała. Główkę sasanków wiankiem ozdobiła, złotem się włosów, jak płaszczem okryła! Skowronki z pola zleciały się do niej i na "dzień dobry" piosenki swe dzwonią.

- Witaj, wietrzyku, witaj! - nie poznajesz to mnie? Tyś przecież wczoraj przybiegał tu do mnie, chciałeś wyprawić mię w podróż niemiłą!

- A toś, wiosenko, radość mi sprawiła!

- A widzisz, jak się prędziutko przebrałam! Zimowe suknie tej rzecce oddałam; niech sobie płyną, niech je północ schowa, chodźmy, wietrzyku, po świecie wędrować!

I poszli razem. Nad nimi szło słońko

i pieśń radosna dzwoniła skowronków. Boćki ich w gniazdach witały klekotem, kaczeńce dywan im usłwały złoty, a bosc dzieci witały gromadą! Tak szła Wiosenka siejąc wkoło radość!

- o -

## JAK WIOSENNY WIATR PRACOWAŁ.

Ledwie zza morza Wiosna powrócić zdążyła, już swój cały dwór liczny do pracy nagliła:

- Trzeba pozmiatać resztki śniegu.  
- Trzeba podpędzić jaskółki w biegu, bo mi gotowe na maj nie wrócić.

- Śpiące kaczeńce trzeba obudzić. I nową drogę słońku wyznaczyć, i, czy śpią jeszcze pszczołki, zobaczyć.

- I orać trzeba, a potem siać. Hej! - do roboty szybko się brać!

Cały dwór Wiosny chętnie pracował, tylko wiatr-hultaj w dziupli się schował. Calutką zimę hasał po polach, więc teraz sobie odpocząć wolał. Skręcił się w kłębek i spi! - aż chrapie! Wtem... za czupryną cap!... - ktoś go łapie! Chciał uciec w pole wietrzyk leniwy, ale się Wiosnie nie śmiał sprzeciwić.

- Mam cię - mówiła - ty, śpiący leniu! - wnet mi pozbieraj wszystkie nasienia. Wszyscy pracują, a ty chcesz spać? Zaraz mi w pole wyruszaj siać!

Zaczął się wietrzyk Wiosnie tłumaczyć:

- Siąc? - hm -...pozbiierać?... a co to znaczy?... Wiosenko miła, pozwól mi spać! ja przecież wcale nie umiem siać!

- O, nie, wietrzyku, nie pora drzemać, patrz, zaorana już czeka ziemia, patrz, jak się wszyscy wzięli do pracy. Czyżbyś ty jeden dziś chciał próżniaczyć?

- Hmm... Kiedy trzeba, to ruszam w pole. Wiesz, że już przecież siać ziarno wolę, niżbyś mię wprzęgła do innej pracy. Prędko się sprawię! Sama zobaczysz!

Przypasał płachtę płócienną, białą, zagarnął ziaren przygarść nie małą; skręcił się, skoczył, gwizdnął z radości! zaczął po świecie ziarna roznosić. A że przy pracy zawsze coś gadał, więc teraz ziarnom też rozpowiadał, gdzie które padnie i gdzie wyrośnie.

Najpierw tak prawił nasionku-sośnie:

- Zasieję cię w zielonym borze, minie wiek jeden, albo dwa może, urośniesz silna, duża, zobaczysz! I wtedy zaczniesz swą piękną pracę.

- Może cię wezmą na maszt okrętu. Będiesz oglądać morskie odmęty, będziesz dalekie porty zwiedzała, o naszym kraju opowiadała...

- Albo cię wezmą w głębiej podziemną, gdzie cicho, straszno, ponuro, ciemno... gdzie w pocie czoła i w ciężkim trudzie kamienny węgiel wciąż kopią ludzie. Ciężka to praca, twarda to praca. Czasem ktoś zejdzie tam, i... nie wraca! Ty właśnie moja wysmukła sosno o życie ludzi będziesz się troskać: podeprzesz stemplem sufit chodnika i będziesz strzegła pracy górnika.

- Albo też jeszcze zmienić się możesz w śliczną kolebkę, do której włoży jakąś troskliwą, dobrą mamusia małego Leszka, małą Hanusię. Kiedy dziecina już będzie spała, ty ją leciutko będziesz huśtała i bajkę szepniesz jej kolorową, aż się uśmiechnie buzią różową.

- A może, sosno, zostaniesz w borze. Mech ci konary puchem obłoży; będziesz rozsiewać żywiczne wonie, będziesz przed burzą chat ludzkich bronić, będziesz im zdrowiem odświeżać płuca... no! - leć, ziarenko, w ziemię cię rzuca!

- Co tu mam teraz? - To ty, żołędziu? Z ciebie mój panie, król lasów będzie! Ty będziesz szumiał baśni prawieków, będziesz symbolem siły człowieka. Liście twe będą na wielkich ludzi czoła wkładane; ty będziesz budził miłość

do ziemi i chęć wytrwania. Nad twą koroną będą przeganiać wichry, niosące chmury gradowe, lecz ty przed nimi nie zegniesz głowy! Imię twe będzie szumieć w legendzie, wiek siwym mchem ci głowę oprzędzie, lecz ty nie padniesz, stać musisz twardo! Ty musisz w ludziach pobudzać hardą odwagę woli, odwagę czynu! chęć osiągnięcia sławy wawrzynów! chęć poświęcenia siebie dla całej ojczyzny swojej.

- Żołędziu mały, ty, przyszedłszy silny, wiekowy dębie! muszę cię mocno w ziemię zagłębić i - rośnij zdrowo, i szum, i śpiewaj; co wiosną w zieleń się przyodziewaj! Czasem przylecę cię odwiedzić, na twych konarach trochę posiedzieć, posłuchać twoich czarownych baśni...

- No, bywaj zdrowy, czas na cię właśnie!

- A ja, czym będę ja? -

- Ty, jabłonko? - gdy cię wiosenne ogrzeje słońko, w sadzie, wśród innych drzewek wyrośniesz i co rok, w maju, gdy przyjdzie wiosna ustroi cię w suknię różową; słońko ci powie bajkę tęczową, pszczołka ci piosnkę pracy zanuci, rosa ci z pereł wianeczek rzuci i będziesz śliczna! i będziesz biała!

- Ale... czy będę też pracowała?

- O, tak! bo owoc twój, moja miła, będzie kryć w sobie radość i siłę, i zdrowia dużo, dużo słodczy...

... no, leć, nasionko, szczęścia ci życzę!

- A z nami, wietrze, co będzie z nami?

- Wy mi wzroście w borze krzewami.

- Ty będziesz miała owoc w skorupie; chętnie wiewiórka orzeszek schrupie wtedy, gdy będzie wkrąg zimno... biało...

- Ty będziesz inne owoce miała. Będziesz, kalino, miała korale, będą cię rzesze ptaszęce chwalić, dzielić się będziesz z nimi w czas zimny...

- A my, wietrzyku, czem wyrośniemy?

- Wy, moje małe, wzrościecie łąką. Dacie schronienie gniazdom skowronków, a gdy się kwiatem łąka rozkwieci, przybiegnie na nią gromada dzieci: przybiegnie Leszek, Romek, Haneczka, będą po łące hasać w słoneczku; będą się cieszyć, będą się bawić, będą szczęśliwe w słońku, na trawie.

- A... czy pożytku nie będzie z łąki? tylko dzieciaki... tylko skowronki?...

- Ejże, nie martw mi się, trawko miła, w zielonej łące też będzie siła, która się zamknie w pachnącym sianie. A sianko zimą krówka dostanie i chwalić będzie pachnącą paszę!

- No, lećcie na dół, tu miejsce wasze!

I tak rozsiewał, i tak gawędził, trochę pogniawał się, trochę zrzędził, gdy mu czasami nasionko małe zbyt grymasiło, zbyt wybierało...

- Tu nie chcę rosnać!

- A tam się boi!

- Tu sami obcy,

- Tam sami swoi,

- Jeszcze poczeka, jeszcze ma czas!

To chciało w pole, tamto do lasu.

Wreszcie już wszystkie rozsiał nasiona.

- No, jużem swoją pracę wykonał! Lecę do wiosny, zdam sprawozdanie....

- A z nami co się, wietrzyku, stanie?!...

- Co?!

- Kto?!

- A gdzieście się schowały wtedy, gdy leśne drzewiny siałem?

- My się ciemnego boru boimy, rzuć nas gdzie indziej, bardzo prosimy!... Nie chciałyśmy ci robić kłopotu...

- Dobrze już, dobrze. Ty koło płotu wzrośniesz, wierzbino, ot tu, przy rowie. Będziesz snuć latem cichą opowieść o ludzkiej doli,

o wsiowym trudzie, fujarczą piosnką będziesz w nich budzić dobroć i miłość i smutek jakiś. Na twych gałązkach odpoczną ptaki, a w dziuplach gniazdka sobie założą. No, rośnij wie- rzbo, z pomocą Bożą!

- Ty, moja gruszo, kiedyś została, na pol- nej miedzy będziesz siedziała, niby ekonom, albo sam rządca! Skryjesz żniwiarzy przed skwarem słońca. Przy twym pniu dużym ułoży w cieniu młoda żniwiarka małą Kasienię, a może Jasia, chłopca małego; będziesz ich, gruszo, jak niania strzegła, będą je szumy twe kołysa- ły, by w pracy matce nie przeszkadzały.

- Wy, jarzębiny, klony i lipy, gdzie was tu posiać? gdzie was rozsypać?

- Rośnijcie wszędzie, wzdłuż każdej drogi, ażeby zimą, kiedy mróz srogi wszystko jednakim puchem ubieli, kędy iść do wsi, ludzie wiedzie- li.

- Wy polskiej drogi szlak ozdobicie, więc tu was rzucam, i tu rośnijcie!

Wytrząsnął z płachty wszystkie ziarenka!

- Hej, gdzie jest teraz moja Wiosenka? - niech mię pochwali za pilną pracę. Może nagro- dę mi da? - zobaczę!

Smyrgnął przez pola, frunął przez błonia! Leciał! - jakby ktoś go z tyłu gonił; stanął przed Wiosną cały zdyszany....

- Skończyłem!... co też za to dostanę?

Śmieje się Wiosna.

- Dobrze, w nagrodę... dam ci w opiekę drzewiny młode. Gdy wzejdą, będziesz je pielęg- nował, co sam zasiałeś, będziesz pilnował.

- Rozczesziesz wierzdom długie warkocze, przemyjesz rosą jabłonki oczy, odwiedzisz so- snę, pogadasz z klonem, potem na łąkę skoczysz zieloną, zobaczysz jak się tam dzieci bawią, zajrzysz do gniazdka skrytego w trawie; a z tamtąd w dalszą drogę wyruszysz: zajrzysz,

co słyhać u polnej gruszy, o czym dąb szumi, o czym bór śpiewa, czy dużo słońka ma każde drzewo, co robią młode krzewy kaliny, czy się rozwinął już krzak leszczyny, czy zdrowo rosną drzewiny młode... W radości z pracy znajdziesz nagrodę!

## JABŁONKA.

Jednego ranka jabłonka miała różowym kwieciem się osypała, a śliczna była, że jasne słońko w zachwycie stało nad tą jabłonką.

A obok inne drzewa też miały to strój różowy, inne znów białe, gdzie niegdzie listek zielony, młody, z pięknosciami kwiatów ruszał w zawody.

A mała jabłonka bardzo dumna była ze swojej sukni. Dokoła patrzyła, jak tylko swą małą główką dosięgała, wszędzie rozkwitnięte drzewiny widziała. Barwiły się krasą przeróżne kolory, świat był przetykany w barwne, kwietne wzory. I, że to nasza jabłonka miała pierwszy raz w życiu taką suknię miała, więc chciała w niej przeżyć całe życie. Żeby wciąż na nią słońko patrzyło w zachwycie, a duży księżyc, gdy wschodził nad ziemią, żeby nad nią głową kiwał ze zdumieniem, i, obok niego te gwiazdki małe, żeby wciąż do niej z błękitu mrugały.

Koło małej jabłonki duża jabłoń rosła. Nie pierwsza już nad nią przechodziła wiosna, nie jedną też surową zimę już widziała, nie w jednej zawierusze gałązkami drżała.

Patrzyła ta jabłoń na siostrę-jabłonkę, słuchała o świecie jej rozmów ze słońkiem, słyszała, jak z księżycem jej kwiat szeptał nocą, widziała, jak jej gwiazdki złociste migocą. I nie mówiła nic, bo się nie chciała spieszyć. Wiedziała, że trzeba będzie smutną jabłonkę pocieszać.

... Aż przyszło jedno ciepłe południe. Kwiaty jabłonek, pachnące cudnie przywabiły wkrótco

skądś z bardzo daleka uganiającego po polach wietrzyka.

- Chi, chi, chiii...jak tu ładnie! zawołał psotnik, i, jak nie wpadnie między różowe kwiaty jabłonki!

Zachwiały się w jedną stronę, w drugą się zachwiały i lekkim, pachnącym puchem na ziemię poopadały.

- Co robisz! - krzyknęła jabłonka - nie szarp mi mojej sukienki!

- Ej, odpowiada jej wietrzyk, proszę różowej panienci, kiedy przyszedł właśnie czas, żeby panienka miła swoją sukienkę zmieniła.

- A jeżeli ja nie chcę? -

- Ja się o to nie pytam, trzeba zmienić sukienkę, bo czas przyszedł, i kwita!

Zmartwiła się mała jabłonka. Bo jakże się jej teraz tak pokazać słońku? Już do niej żadna gwiazdka nie zamruga! Gdy ją tak brzydką zobaczą, rosą perlistą zapłaczą i zgasną jedna za drugą.

- Co ze mną będzie? - płakała - co będzie? A tymczasem jej płatki wiatr roznosił wszędzie i po drodze wpadł także między inne drzewa i z ich koron też piękne kwiaty zaczął zwiewać.

Kiedy duża jabłoń zobaczyła, że się jej siostrzyczka tak bardzo zmartwiła, szeptem gałązek jej powiedziała:

- Posłuchaj, siostrzyczko mała, nie martw się, czasu i zmartwień szkoda. Teraz na polach i ogrodach inny porządek, miejże też rozsądek. Widzisz, moja miła, gdybyś rok cały jedną sukienkę nosiła, toby ci się ona prędko zabrukała i bardzo byś brzydko wkońcu wyglądała.

- A zapamiętaj, żeśmy nie dla urody, nie dla piękna, zbytku, tylko do pracy jesteśmy, do pożytku.

- Praca...

Praca...

Praca...

... zaszumiały drzewa,

a za nimi łąka też zaczęła śpiewać,  
a za łąką pieśń tę podjął ciemny las:

... - próżnować wstyd... pracować czas...

- A jak ja będę pracować? - cicho zapytała swoją dużą siostrę jabłoneczka mała.

- Posłuchaj: jak rok długi, mamy wiele pracy, musimy zmieniać suknię, sama to zobaczysz. Do tego roku, siostrzyczko mała tys tylko rosła, nie pracowałaś, ale już teraz też zaczniesz pracować, zaczniesz wraz z nami pięknie owocować. Owoce twoje zamkną w sobie słońko, które wędruje codziennie nad łąką i ukryją w sobie woń tego wietrzyka, który się przed chwilą po kwiatkach przemykał i sok będą miały skądziutki, a zdrowy; będą twe owoce długo ludzie chować, i cieszyć się będą, smak ich będą chwalić, a ciebie, siostrzyczko będą wspominali.

- A czy prędko będę mieć swoje owoce?

- Oj, poczekaj, maleńka, miną dni i noce, i dużo, dużo czasu przepłynie nad nami zanim się ozdobimy swymi owocami. Widzisz, teraz biega wiatr po wszystkich sadach, by pozbierać kwiaty, by je poukładać do przyszłego roku, do przyszłej wiosny, a my dostaniemy zielone sukienki. Zaraz na świecie będzie rządzić lato. Słońko będzie nad nami swe włosy rozplatać, i pieścić nas będzie, dłużej będzie z nami, nie pobiegnie szybko zasnąć za lasami...

- A listki nasze będą coraz to ciemniejsze, a owoce nasze co dzień to piękniejsze. O świecie je będzie kapać bujna rosa, promyki in barwy różowe przyniosą, a księżyc z gwiazdkami w ciche, ciepłe noce będzie bajkę złotą prawić twym owocom.

- Potem przyjdzie jesień. Oj! piękna to pani! Zobaczysz, jak wiele kolorów jest na niej!

Weźmie w dłonie jesień farby kolorowe, za-

cznie wszystkim roślinom owoce malować:

- Jednym da różowe buzie, innym czarne noski, jeszcze innym znów dołoży złotej farby troszkę. I tak pomaluje wszyściutkie owoce, a niektórym drzewom listki też ozłoci. Za to innym listki pokryje czerwicią.

- Toż to ślicznie będzie na świecie jesienią! ale co dalej będzie? - ciekawie pytała zasłuchana w opowieść jabłoneczka mała.

- A no, gdy tak jesień wymaluje wszędzie świat na kolorowo, kiedy w koło będzie złoto i purpurowo, przyjdą wtedy ludzie, zbiorą z nas jabłuszka, zabiorą też owoc i śliwom, i gruszkom, i wszystkim drzewom owocowym w sadzie.

- A ja nie chcę dać swoich, co na to poradzić?

- Ej, siostrzyczko kochana, jeśli na tobie owoce zostaną, przyjdzie złościca-wichura, postrąca ci je z gałązek, więc lepiej oddać je ludziom, to zresztą nasz obowiązek. Pocóżbyśmy tylko je trzymały? -

- Po to, żeby je wichura postrącała w błoto? Lepiej niech je sobie ludzie pozbierają i pożytek, i radość i zdrowie z nich mają.

- To nie zostanie z nami długo jesień złota?

- O, nie, wnet za nią przyjdzie smutna słońta. Deszczem się rozchłapie, błotem się rozchłapie. Ziemia się ułoży do drzemki zimowej, nam się też pomoże do niej przygotować. Da nam dużo wilgoci do pnia i korzeni; da siły, żebyśmy się mogły znowu zazielenić.

- To i listków też potem już nie będę miała?

- Ej, nie, siostrzyczko kochana, tylko nam pączki maleńkie zostaną, będą one szczelnie pozamykane, grubą łuseczką pootulane, a w tych twych pączkach, jak gdyby w kółeczku będzie spać dużo maleńkich listeczków.

- A jabym tak bardzo chciała, żeby moje listki ze mną pozostały.

- Nie można, widzisz, potem przyjdzie zima; gdybyś chciała na sobie listeczki zatrzymać i takby cię długo nie przyozdabiały, boby wkrótce z chłodu ci pozamierały. A śnieg, co białym puchem każdej zimy spada otulając kożuchem wszystkie drzewa w sadach, byłby się na zmarzłych liściach zatrzymywał, na twoje gałązki byłby się zsypywał...

- Byłoby im w śniegu coraz ciężej, ciężej, nie potrafiłyby się swobodnie wyprężyć, złamałyby się wszystkie, a tybys została zniszczona, chora, smutna, moja siostró mała. Więc zieloną sukienkę też zdjąć będzie trzeba i w śniegowy białuśki kożuszek się przebrać. Nim spostrzeżesz, że jesteś tak ciepło ubrana, wrócą ptaki z za morza, i... siostró kochana, na swych skrzydełkach do nas przyniosą wiosenkę!

- I znowu włożysz swoją różową sukienkę, znowu będziesz tak samo, jak dziś, wyglądała i, jak dziś, tak ze słonkiem będziesz rozmawiała.

Zamyśliła się chwilkę jabłoneczka mała, potem mówi:

- Już wszystko dobrze zrozumiałam, to też nie będę płakać, ani też się złościć; jaką dostanę suknię - taką będę nosić.

- Dziękuję, dobra siostró, za tve opowiadanie.

- Bierz, wietrzyku różową sukienkę, ja w zielonej teraz zostanę.

- o -

## JAK PTASZYNY MAŁE KLUCZYKÓW SZUKAŁY.

Siedzi święty Piotr na chmurze i gwarzy z ptakami:

- Przyleciałyście tu do nas gwiezdnyimi szlakami, niosła was tu skrzydeł siła, wiodła mleczna droga, czas wam teraz spocząć, ptaszki, wytchnąć u stóp Boga. Bo po ziemi teraz chodzi w śnieżnym futrze zima, musicie ją, moje ptaszki, tu, w niebie przetrzymać.

Otworzył Piotr wielką bramę rajskich łąk i sadów i wpuszczał tam po kolei ptaszęce gromady:

szyły jaskółki i bociany, i słowiki małe, i skowronki, co nad zbożem dzwoniły dzień cały, szła gromadka za gromadką te rzesze ptaszęce, zebrało się ich aż milion, może jeszcze więcej!

A po świecie chodzi zima! śnieżnym puchem sypie, jadą sanki, dzwonią dzwonki, mróz pod płożą skrzypi. Idzie miesiąc za miesiącem: gruzdzień, styczeń, luty, ten, co pyta biednych ludzi:

- A masz całe buty? - i za nogi mrozem szczypie, wciska się przez dziury, pędzi po niebieskich drogach ciężkie, śnieżne chmury; zawierucha hula, tańczy z wichrem popod ręce, luty woła do nich głośno:

- Śniegu! więcej! więcej!.....

..... Ptazskom ciepło, ptazskom miło wśród pięknych drzew raju, ale myślą wciąż o gniazdkach, co je w Polsce mają, ale myślą wciąż o ludziach, którzy tam zostali, którzy wiosną uśmiechnięci ich piosnek słuchali.

I skowronki, szpaki, boćki coś ze sobą gwarzą; chodzi między nimi anioł z promienistą



twarzą, więc podleciał doń skowronek i piosenki dźwiękiem zaświergolił:

- Puść na ziemię, prosimy cię pięknie!

- Puść, aniołku, puść, nas wszystkie!

- Otwórz nam, kochany!

- Chcemy lecieć, gdzie czekają na nas śpiące łany, chcemy lecieć, gdzie do pracy szykują się ludzie, chcemy piosnką towarzyszyć przy rolnika trudzie.

... I tak proszą, i tak dzwonią, swiergołą i kwilą, że aniołek rozrzewniony aż główkę pochylił, bo mu łezki zaświeciły, taki był wzruszony tym, że ptaszki chcą stąd lecieć w swe rodzinne strony, tym, że choć tu ciepło, miło i pokarmu dużo, one lecieć chcą na ziemię, by tam ludziom służyć.

I tak ptaszkom odpowiedział:

- Zapytam klucznika, bo on swoim złotym kluczem bramy pozamykał, bo on to na rozkaz Boży was wypuścić może, pójdę, powiem mu to wszystko, może raj otworzy i pozwoli wam ulecieć za waszą tęsknotą, sam nie mogę rozporządzać rajem bramą złotą.

- Idź, swiergocą mu skowronki!

- Idź, słowiki proszą!

A bociany, pliszki, szpaki wielki gwar podnoszą!

Pobiegł aniołek rajską ścieżką usłaną gwiazdami.

- Święty Piotrze, święty Piotrze, co robić z ptaszkami? Nie chcą siedzieć w rajskich sadach, gniazdek tu nie mają, mówią, że na ziemię muszą, że ludzie czekają! A tam przecież chłodno, głodno, a tam przecież zima! Poradz na to coś, kluczniku, bo ja rady nie mam!

Święty Piotr rozsunał ciężką, chmurzystą zasłonę, spojrzak uważnie na ziemi pola ośnieżone.

- A no to już prędko marzec, zaraz minie

zima, skoro ptaszki już chcą wracać, trudno je tu trzymać; nim się zbiorą, nim dolecają, pewnie będzie wiosna, zanieśże tym miłym gościom nowinę radosną: że powracać mogą zaraz, niechże się zbierają, masz tu klucze, pootwieraj wszystkie bramy raję.

Wraca aniołek, a ptaszyny wołają z daleka:

- Czy już prędko polecimy?

- Długo trzeba czekać?

- Nie będziecie czekać wcale, - aniołek odpowiada - możecie się zaraz zbierać w skrzydlatych gromadach. Mam tu klucze od bram sadu, zaraz wam otworzę!

Powstał szczebiot, gwar, swierkanie:

- Dzięki, dobry Boże!

- Polecimy, polecimy nad pola, nad bory, rozśpiewamy łączne kwiaty i zbożne ugory, uwijemy sobie gniazdko w polnych krzewach głogu i będziemy ludziom śpiewać o niebie, o Bogu, o tym, że pracować trzeba, bo praca chleb daje. Puść nas prędej! otwórz prędej złote bramy raję!

I swiergołą, i szczebiocą, że aniołek mały uszy sobie pozatykał, tak głośno krzyczały!

A pchały się też okropnie!

- My pierwsze!

- My! przecież my musimy być tam prędej!

- My też chcemy lecieć!

Śpieszy się aniołek mały, biega i otwiera, bo cała ptasza gromada przy bramach się zbiera!

- Weź ten kluczyk!

- Nie, weź tanten, bo ten nie otworzy!

Już wzleciały, już wołają:

- Dzięki, dobry Boże! My tu znowu powrócimy z jesiennymi mgłami, gdy nam drogę znów usiejesz drobnymi gwiazdkami!

- Dowidzenia ci, aniołku, pożegnaj klucznika, podziękuj mu, że nam szybko bramy poodmykał!

Wyleciały wszystkie ptaki, puste sady raju.  
- Czy też moje ptaszki trafią do swojego kraju, czy też nie zabłądzą biedne, lecąc mleczną drogą - tak rozmyśla mały anioł, usiadłszy na progu. Patrzy, patrzy za ptakami które-  
dy też lecą? w rękach mu kluczyki raju złotym błyskiem świecą.

I... zagapił się aniołek, bo był przecież mały, i... wtedy mu te kluczyki z rąk powypadały.

- Oj! - przestraszył się aniołek! - co to teraz będzie?

Rozsypały się kluczyki, popadały wszędzie!

Z czym powracać do klucznika? - oj, będzie się gniewać! Trzeba szybko biec na ziemię i klucze pozbierać.

Frunął anioł niby ptaszek, leci, patrzy, bada, a tu go od ziemi wita ptaszęca gromada!

- Co się stało?

- Czemu taką masz zmartwioną minę?

- Bo mi... bo mi .. cały pęczek rajskich kluczy zginął, i... nie widzę ich zupełnie, tu pusto dokoła, a muszę zaraz powracać, o, już klucznik woła!

- My ci klucze odnajdziemy, pewnie leżą w lesie, pewnie słowik, lub sikorka klucze ci odniesie, nie płacz, nie martw się aniołku, tu niema kłopotu, wnet ci wszystkie pozbieramy twoje klucze złote!

I rozbiegły się ptaszyny!

Wracają co siły!

- Zobacz, zobacz w co się rajskie klucze zamieniły!

- Widzisz, gdy spadły na ziemię rozkwitły kwiatami!

- Ach, jak my się tym cieszymy! raduj się ty z nami!

- Aha! - raduj się! - a co też święty Piotr

WŁASNOSC  
POLSKIEJ Y. M. C. A.  
WE FRANCJI



mi powie, gdy zapyta:

- Gdzie są klucze?

- Zgubiłem - odpowiem! - rozsypały się po ziemi i wyrosły w lesie.

- Wiesz, nazbieraj tych kluczyków i te mu zanieś! przecież klucznik się ucieszy z tej ślicznej przemiany!

- No, zbierajmy razem kwiaty! Nie płacz już, kochany!

Uzbierały ptaszki bukiet ogromny, aż dziwo! każdy kwiatek miał w kielichu srebrnej rosy szkliwo, każdy kwiatek pachniał miodem i złoty był cały, aż biednemu aniołkowi oczka pojaśniały.

Dziękując ptaszkom za pomoc pofrunął do nieba.

- Święty Piotrze, masz kluczyki, a przemianę przebacz! Widzisz, sam już nie wiem kiedy z rąk mi wyleciały, a dobiegłszy stąd na ziemię kwieciami powzrastały!

- Zobacz, jakie teraz śliczne, a jak pachną mile!

Przyglądał się dobry klucznik kwiatom długo chwilę i powiedział do aniołka, co słuchał skruszony:

- Mam ja dużo jeszcze w niebie kluczyków złoconych! Te, gdy były już na ziemi, niechże tam wracają i niechaj tam z każdą wiosną złotem rozkwitają, niechaj pierwsze się rozwinają wśród kwietnych kobierców, niechajże się ich widokiem cieszą ludzkie serca; niech wiedzą, że wiosna wraca, gdy kwitną kluczyki, my będziemy tu innymi swe bramy zamykać.

Oj, cieszył się mały anioł, oj klaskał rączkami, gdy się wiosną rozkociały łaki kluczykami!

A od ziemi biegły śpiewy ptaszęcej gromady, co obsiadła gwarnym rojem i lasy i sady. Dziękowały ptaszki Bogu za te nowe kwiaty,

co swym złotem ozdabiają miłej wiosny szaty!  
I biegła piosenka w górę, aż do nieba progu,  
za wiosną, słońko i kwiaty dziękowała Bogu! -

- o -

#### GNIIEWY SŁONKA PORANNEGO.

Poranne słońko zaledwie wstało, od razu czegoś się nadaśało. A to, że znikły różowe zorze, ono się z nimi bawić nie może. A to, że czemu gwiazdki znikają i nigdy na nie nie po-  
czekają, ledwie że ziemia przestanie drzeć, one: błysk, błysk, błysk... i już ich nie ma! Czemu je zawsze świt z nieba spędza, ledwie się brzasku rozsunie przedza.

A czemu księżyc także ucieka? - przecież on chyba może poczekać? Po niebie chodzi pod rękę z nocą, piękną poświatą swą ziemię zło-  
cąc, ale, gdy słońko chce z nim pogadać, on schyli głowę, zrobi się blady, potem się z nie-  
bem stopi i zginie!... ale wieczorem znowu wy-  
płynie.

Grymasi słońko:

- Ja się nie bawię! Czemu dziś rosy nie ma na trawie?

- W czym to się dzisiaj będę kąpało, jeśli mi nocka rosy nie dała?

Skaczą promyki dokoła słońka:

- Czemu się gniewasz, czemu się dąsasz? Za-  
brakło rosy? - umyj się w rzece. I tam świe-  
żutka woda jest przecież. - Uciekły gwiazdki? -  
Pobaw się z nami! przecież my ciebie bardzo  
kochamy.

- Księżyc spać poszedł? - niech śpi, niebo-  
że. Całą noc chodził, zmęczył się może.

- Poranne zorze uciekły z nieba, bo im na zachód dażyć potrzeba. Gdy ty po świecie sobie wędrujesz, one ci nocną pościel szykują i, gdy zachodzić będziesz wieczorem, spotkają ciebie ot tam, pod borem.

- Patrz, tam na ciebie czeka już dzionek!
- Słyszysz? - "dzień dobry" woła skowronek!
- Cała cię ziemia uśmiechem wita.
- ... Słonko się dalej dąsa - i kwita.
- Niech sobie idzie ode mnie dzionek!

Niechaj swą piosnkę schowa skowronek! Uśmiechu ziemi też mi nie trzeba, chcę co innego:

- Chcę gwiazdki z nieba!

Przyleciał wietrzyk, co drzemał w sadzie.

- Pomóż, wietrzyku, co tu poradzić,

żeby się słonko już nie złościło, żeby w codzienną drogę ruszyło.

A wiatr podskoczył, kozła wywrócił, złapał garść piasku i w górę rzucił; zatrząsk czupryną wierzby garbatej, poleciał między wieśniacze chaty. Tu gwizdnął w komin, tam zatrząsk strzechą:

- Dla ciebie, słonko, dla twojej uciechy!

Nic nie pomogło. Słonko wciąż swoje:

- Nie chcę - i - nie chcę! Po co wiatr broi?

Niech sobie idzie, ja się nie bawię! Niech się spać znowu ułoży w trawie!

- Ja nie chcę tego, co jest dokoła, chcę co innego! - słoneczko woła.

- Ależ dziś słonko stroi grymasy! Biegnę do chmurek, co śpią za lasem. Niech tutaj przyjdą, niech się zgromadzą, może coś na te dąsy poradzą.

Puścił się pędem za lasy, góry, gdzie w swoim domku mieszkały chmury.

- Chodźcie tu prędzej, nie traćcie czasu. Okropnie słonko dzisiaj grymasi. Chce gwiazdek z nieba, chce rannej zorzy; nikt tych kaprysów spełnić nie może. Chyba wy tylko tam dacie radę.

Ruszyły chmury całą gromadą.

Pierwsze pobiegły leciutkie, białe, te, co są z puchu zrobione całe. Biegły radośnie, biegły wesoło.

- Będziemy pierwszel - zaczęły wołać - wy nie zdażycie, idźcie za nami, nie zrównać w pędzie wam - z obłokami! Potem szły większe, szarawe chmury. Nie chciało im się unieść do góry. Sunęły sobie nad światem niżej, od słonka dalej, od ziemi bliżej.

Na samym końcu sine, skłębione, najcięższe chmury ruszyły w stronę słonka, co ciągle jeszcze dąsało się i co gwiazdkę z nieba mieć chciało.

Pierwsze dobiegły obłoczki białe.

Tuż koło słonka się zatrzymały, zaczęły splatać taneczne koło.

- Hejże, słoneczko, patrz, jak wesoło!

- Chodźże tu do nas, ruszyny w płasy, uśmiechnijże się i odrzuć dąsy.

Słonko nic na to nie powiedziało, ale się dąsać nie zaprzestało.

Tymczasem przyszły te szare chmury. Podeszły bliżej, spojrzwały w górę, gdzie słonko stało rozgrymaszone. Pewnie się chciały wszystkim przekonać, czy tu ich pomoc na coś się przyda.

- Nie. Trzeba czekać, aż tamte przyjdą.

Skoro obłoczki nie poradziły, cóż one z słonkiem będą robiły?

Tylko się zbiegły w jedną gromadę. Tylko mruczały:

- Jak tu dać radę. Jak rozweselić minę słoneczka?

Aż tu z pod lasu, gdzie płynie rzeczka, wypęzły właśnie te chmury sine.

- One odkrywają dąsów przyczynę. One pomogą, one poradzą. Niech się tu tylko prędzej zgromadzą!

Powoli pełzły skłębione chmury. A świat się zrobił ciemny, ponury. Ziemia słuchała strasznie ciekawa:

- Jak to też chmury słonko rozbawiają?

Zakryły sobą już całe niebo. Żaden się promyk nie może przebić przez ich grube płachty skłębione.

Obłoczki też się zbiegły w ich stronę, żeby się wspólnie dobrze naradzić:

- Co tu na dasy słonka poradzić?

A słonko ciągle swoje i swoje:

- Idźcie precz, chmury, ja się was boję, białych obłoczków też mi nie trzeba! Niech przyjdzie księżyc i... gwiazdka z nieba!

Długo się ciemne chmury radziły. W coraz się grubszą warstwę kłębiły, ale, że dąsom rady nie dały, więc... ze zmartwienia się rozplakały!

Lunęła z góry deszczu ulewa! Zamokły pola, zamokły drzewa, przez deszczu strugi, przez mrzycę mokrą słoneczko ziemi dojrzeć nie mogło.

Przeszła godzina jedna... i druga... a z chmur płynęła wciąż deszczu struga, bo chmury ciągle rzewnie płakały, że dąsom słonka rady nie dały.

Aż, gdy się wieczór przybliżał cichy, słoneczko czegoś zaczęło wzdychać.

Smutno mu było samemu, przecież wolało sobie chodzić po świecie, z ziemią rozmawiać było mu milej, a tu mu ziemię chmury zakryły.

Więc też zaczęło je pięknie prosić:

- Już dziś nie będę więcej grymasić. Już sobie idźcie ku swojej chacie, chcę na "dobranoc" ziemię zobaczyć.

Myślały chmury, długo myślały... wreszcie swe mokre płachty zebrały, i wyruszyły znów w kraj daleki: za ciemne lasy, za bystre rzeki.

Słonko się z nimi grzecznie żegnało i słiczną tęczą się roześmiało, a ziemia cała słicznie umyta zaraz się z słonkiem zaczęła witać.

Zbiegły promyki w deszczu kałuże, zaczęły swoje nóżki w niej nurzać, skakać po polach, biegać po łące, a razem z nimi biegało słońce

i na "dobranoc" swą buzią białą chaty i pola ucałowało.

Ziemia radośnie mgłami westchnęła i wraz ze słonkiem cicho zasnęła. I tylko zorze w zachodniej stronie nie przestawały się długo pżonić.

- o -

## O MAŁYM PAJĄCZKU, CO CHCIAŁ W ŚWIAT WĘDROWAĆ.

Uśmiechało się do ziemi zachodzące słońko, kłaniało się nisko lasom, całowało łąki, wyzłociło chatom strzechy, skąpało się w strugach, układało pod topole cienie szare, długie...

...A pajęczek jeden mały huśtał się na trawie, wtem posłyszał gdzieś u góry klangory żurawie; podniósł główkę i zawołał ku lecącym ptakom:

- Gdzie lecicie? - i dlaczego pieśń śpiewacie taką, w której słychać żal, tęsknotę i wołanie jakies? Gdzie lecicie? - odpowiedźcie mi, nieznane ptaki!

- Hej, pajęczku, hej, maleńki - odkrzyknęły ptaki - wylatujemy na wyraj poprzez długie szlaki, odlatujemy za morza, za lasy, za góry; wskazują nam drogę gwiazdy, i słońko, i chmury!..

- Zabierzcie i mnie ze sobą! - ja polecę z wami!

- Ej, nie zrównasz ty się w locie z nami, żurawiami, czekaj, zaraz tu nadlecą dzikich gęsi stada, może one cię zabiorą, z nami nie dasz rady!

Siadł pajęczek na ździebełku, rozmyśla i czeka... aż tu właśnie gęsie stado nadciąga z daleka.

- Moje gąski, moje miłe, zabierzcie mnie w drogę! Ja też chcę w świat powędrować, ja też latać mogę!

Odkrzyknęły siwe gąski tęskliwym wołaniem:

- Nie nadążysz lecieć z nami, po drodze ustaniesz! My spieszymy, bo za nami goni sroga zima, chłodem straszy, śniegiem sypie, mróz w zanadrzu trzyma. Zamrozi nam wszystkie wody,

zetrze błota lodem; uciekamy przed mrozami, przed śmiercią, przed głodem!

- Ty pozostań tu, pajęczku, nie leć na wyraje, zobacz ile tu owadów na zimę zostaje; przecież mogą lecieć szybko, przecież skrzydła mają, jednak zimy się nie boją, jednak tu zostają.

Zakłopotał się pajęczek i zmartwił się bardzo. Myśli sobie:

- Ptaki moim towarzystwem gardzą. Poradzę więc sam, nie będę więcej prosić łaski. Przez noc sobie plan obmyślę: jutro z rannym braskiem poszybuję, powędruję dalej, niż żurawie! Swoim lotem wszystkie ptaki w wielki podziw wprawię.

- Zostań z nami, zostań z nami! - zaszumiała trawa - widzisz, na nas także zima bardzo nie łaskawa: zasypuje nas zawieją, przykrywa śniegami, jednak my nie uciekamy, zostań i ty z nami!

- Et, gadanie, zostajecie, bo choćbyście chciały, przecieżbyście w żaden sposób w górę nie wleciały; przytrzymują was korzenie i wiążą was z ziemią, więc ulecieć nie możecie, na to rady nie ma!

- Oj, gdybyśmy nawet duże, silne skrzydła miały i tak byśmy stąd przenigdy w świat nie wyleciały. Patrz, wiele z gromady ptaszej tutaj pozostaje, bo się serca ich związały mocno z naszym krajem. Bo choć je tu bieda ścisnie, choć głodować muszą, jednak zrosły się z tym krajem swoją małą duszą, jednak wolą głód wśród swoich, niż pokarm w wyrajach i nie lecą, i przy gniazdkach swoich pozostają!

- Oho, - pomyślał pajęczek - trawka mi zazdrości, że potrafię się wysoko w powietrzu unosić. Jutro, gdy mój lot zobaczy, zmartwi się, nieboże, że ja sobie tak w świat lecę, a ona nie może. Przecież tutaj pusto, cicho

i tak brzydko wszędzie, gdy polecę w inne kraje, toż tam pięknie będzie! Tutaj tylko trochę kwiatów rosą pokropionych, tutaj tylko kilka chałup wiekiem pochylonych. Tutaj szaro, tutaj nudno, tam - będzie inaczej! Tam napewno różne cuda i dziwy zobaczą!

Całą nockę dumał pajak, całą nockę czuwał i srebrzystą pajęczynę gorliwie wysnuwał. Uplótł z niej wygodne gniazdko do swojej podróży.

- No, niech prędzej świt przychodzi, już nie czekam dłużej!

Przyszedł ranek uśmiechnięty, rozperlony rosą.

- Teraz już w świat powędruję! W górę się uniosę i polecę nad obłoki, a może nad słońce! Niech mię widzą wszystkie ptaki i trawy na łące. Niech mię widzą wszystkie drzewa, niech świat patrzy cały, jak potrafię pięknie latać ja, pajaczek mały!

I oderwał się od trawki i krzyknął:

- Hej! - w górę! Zaraz prześcignę żurawie, zaraz minę chmurę! Zaraz przez morza przeleczę! Oceany minę! Nadał się pajaczek bardzo! Zrobił groźną minę i pomyślał sobie dumnie:

- Pewniem już daleko w świat wyleciał, pewniem jestem już za siódmą rzeką!

Usadowił się wygodnie w pajęczynce swojej i wstyd mu było się przyznać, że... się trochę bliżej spojrzeć na dół i obejrzyć sobie świat szeroki. Widział tylko, jak hen, w górze szybują obłoki, widział tylko tuż przy sobie swą siatkę pajęczą... Wtem, posłyszał, że gdzieś w dali ptasze głosy dźwięczą!

- Oho, pewniem już szybuję tam, gdzie są wyraje! O, nawet głosy wczorajszych gęsi już poznaję! No, trzeba zebrać odwagę, boby mię wyśmiały, że tak chciałem wczoraj lecieć ja, pajaczek mały, a dziś... tak mi coś... nie bar-

dzo... pewniem to dlatego, że tak już długo wędruję - i - sam nie wiem czego... ale... jakoś żał mi wioski, z której odleciałem. Tyle tam znajomych trawek i owadów miałem!... Ha, no trudno!.. za to będę znanym podróżnikiem!... Tuż przy nim przemknęło stado gąsek z tęsknym krzykiem, więc napuszył się pajaczek:

- Niech ptaki poznają, jaki to wędrownik sunie ku dalekim krajom! Hej! - zawołał - śpieszcie, gońcie! i tak was dopędzę! Przecież ja, choć bez skrzydeł, szybciej od was pędzę! Już poza mną pozostały cztery takie stada. Już widziałem jak pode mną żurawi gromada nie zdążyła lecieć w takim, jak ja lecę - pędzie, pozostały hen, poza mną! z wami też tak będzie! Bom ja minął już sto lasów! cztery oceany!...

... Zachichotało coś przy nim...

- Pajaczkule kochany, nie wołaj tak triumfalnie, nie krzycz wielkim głosem! Przecież ty wcale nie lecisz, tylko... ja cię niosę!

- Ktoś ty?!

- Ja? - wiatr jestem polny, wędruję po świecie; w którą stronę się obrócę, w tą ty musisz lecieć. Zapamiętaj sobie proszę tę naszą rozmowę: Trzeba skrzydła mieć, by latać! Tutaj próżne słowa ni przychwałki nie pomogą, trzeba w skrzydłach siły, by cię na powietrznych drogach śmiało unosiły.

- Teraz ty się cieszysz bardzo, bo ci się tak zdaje, że polecisz za ptakami na piękne wyraje. Zobacz, ot, zakręcę w prawo - i ty ze mną musisz. Zobacz, ja ruszam na lewo - i ty w lewo ruszysz!

Kręcił się pajaczek w prawo - i wirował w lewo, wreszcie nitką się zaczepił o wysokie drzewo. Szybko zbiegał po listeczkach, przysiadł na gałęzi. Jeszcze mu od jego lotu świat się w oczach kręcił, jeszcze mu od tańca



z wiatrem w głowie wirowało! Ale cieszył się!:

- Odbylem już podróż nie małą! pewnie przez dalekie światy dzisiaj przeleciałem, a że byłem... nad chmurami, więc... nic nie widziałem... ani morza, ani rzeki, ani oceanów... myślę, że tutaj, gdzie jestem, pewnie pozostanę. O, jak słownie tu dokoła, jaka piękna ziemia! Tam w złotych promieniach słońka ciche pola drzemią, tam, jak tęcza kolorowa, łąka się rozkłada, jaka piękna! niech się schowa przy niej łąka nasza; tam bieleją wiejskie chaty w swych czapach słomianych... ładnie tu! więc zejść niżej i tutaj zostanę!

Zsuwał się po pajęczynie coraz niżej... niżej... Chmury były coraz dalej, ziemia coraz bliżej.

Wtem posłyszał, że:

- Dzień dobry! - woła trawka mała -

- Jakże ci się, mój pajęczku, twa podróż udała? Widzisz, znów tu powróciłeś, choć tak lecieć chciałeś. Opowiadaj, co za cuda po drodze widziałeś?!

- Oj, leciałem ci wysoko, i dużo widziałem, i goniłem za chmurkami, z wiatrem rozmawiałem, i wiem teraz, że, by latać, nie wystarczą cięci, bo... bez skrzydeł tylko... w miejscu wiatr mną potny kręcił. I wiem teraz, że jest dużo pięknych rzeczy wszędzie, trzeba tylko umieć patrzeć, a wnet piękniej będzie wyglądało wszystko w koło, wszystko się rozkwieci, tylko, żeby widzieć piękno, trzeba troszkę wzlecieć i popatrzeć trochę w górę, nie na koniec nosa. Wtedy w perły się zamieni zwykła mokra rosa, wtedy tęczą się rozbarwi zwykła kwietna łąka, wtedy wszystko się rozkłoci promieniami słońka. Przy tym każdy, choć najmniej, jedną rzecz zrozumie: że ten tylko, gdzie chce, leci, kto sam latać umie.

- o -

## NA ROLI.

Idzie tatuś orać ugór, a za tatem idzie Jaś, co to pierwszy raz w tym roku wyszedł w pole krówki paść.

Myśli Jasio:

- Gdy urosnę, gdy będę taki, jak tato, to już krówek paść nie będę! ugór orać będę za to!

- Zorzę ugór, zorzę drugi, będę sobie szedł za pługiem, tato zostanie przy chacie, nie pozwolę orać tacie!

Dość się teraz napracuje, nim to zorze, zabronuje, nim zasieje całe pole. Oj, co pracy przy tej roli!

Tato orze na ugorze, Jaś pomaga mu, jak może: prowadzi za uzdę konia i śpiewa! - aż echo dzwoni! O tym polu, o tej glebie, o razowym, czarnym chlebie; o tej pracy w czoła pocie, o zbożu, co się wykłoci, gdy nadejdzie ciepłe lato...

Śpiewa Janek, idąc z tatą, a pod słońkiem, hen, hen, w górze, skowronek tym piosnkom wtórzy.

- o -

## KRASZANKOWE KURCZĄTKA.

Pewnego ranka zawołała mama Halinkę i Janka. Dała im po kilka jajeczek, dała im kilka małych miseczek, a w każdą miseczkę wlała farby troszeczkę i powiedziała:

- Pracuj, Halinko z Jankiem, zróbcie sobie kraszanki.

Wzięła Hala pędzelek, mamy fartuch przypasała i zaraz do malowania śpiesznie się zabrała.

A mały Janek, chcąc piękniej od siostry malować, ze swymi kraszankami aż do kącika się schował.

Malowały, ozdabiały:

tu listeczek,

tam gałązka,

tu motylek,

tam promyczków wiązka...

to całe w zielone kropeczki,

to - z czubkiem żółtym troszeczkę,

to - w niebieskie łatki,

to - w różowe kwiatki.

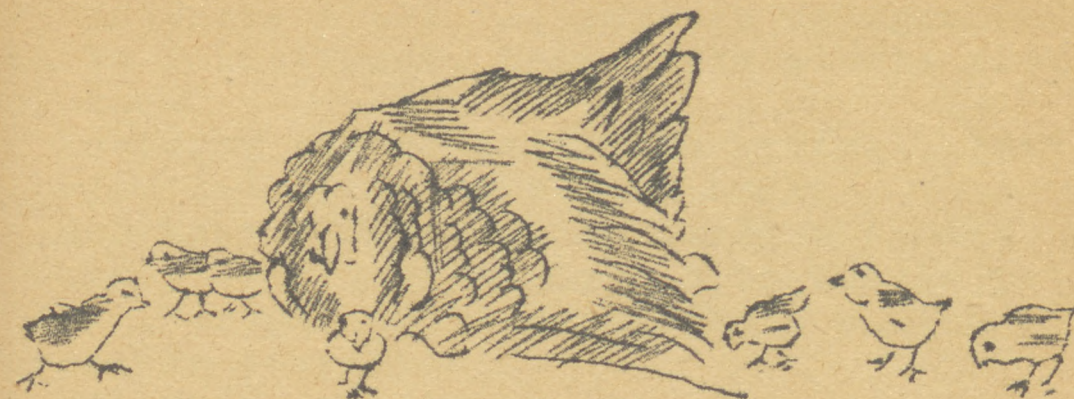
Malowały, malowały... wszystkie jajeczka już poozdabiały, ale w każdej miseczce zostało farby troszeczkę.

Nie za wiele, nie za mało, ale zostało.

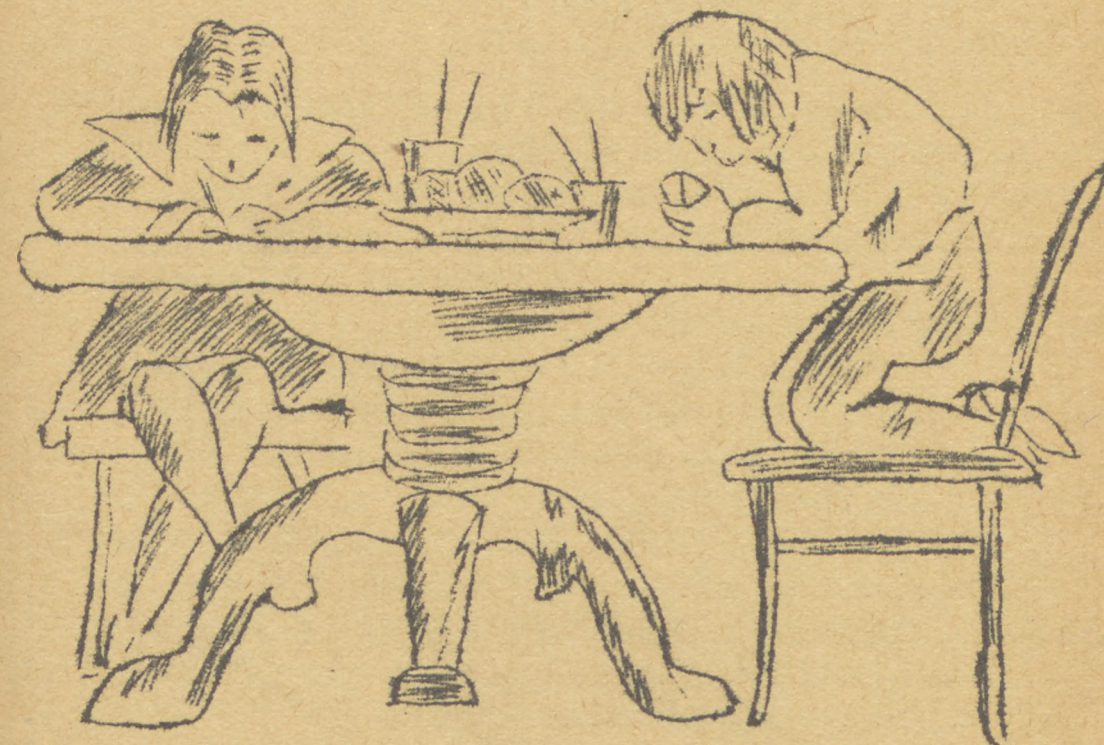
- Szkoda tak farby marnować! coby tu jeszcze teraz pomalować?

A właśnie pod oknem głośno zagadkała ich ulubiona kokoszka biała.

- Wiem! - woła Haneczka. Co się mamy biedzić. Przecieżnasza czubotka na jajeczkach siedzi, a teraz poszła na spacer troszeczkę. Bierzmy prędiutko wszystkie miseczki, i tymi



WŁASNOSC  
POLSKIEJ Y. M. C. A.  
WE FRANCJI



farbami, które nam zostały ozdobiemy w kojcu jej jajeczka białe! A, gdy się wylęgną kurczątką z kraszank, będą miały piórka pięknie malowane.

Pobiegły szybko dzieci do komórki, gdzie w kojcu leżały jajka białej kurki.

Malowały z zapałem, malowały z ochotą i strasznie się cieszyły, co to będzie potem, kiedy skorupki jajek popękają, a z nich się kurczątką powychylają.

Malowały, ozdabiały:

Tu listeczek,

tam gałązka,

tu motylek,

tam promyczków wiązka.

To - całe w zielone kropeczki,

to - z czubkiem żółtym troszeczkę,

tamte ma zielone łatki,

a tamte - różowe kwiatki...

Malowały, malowały, aż się z miseczek farby wyczerpały. A tu akurat z spaceru wróciła biała kokoszka. Do kojca wskoczyła i te kraszanki i te jajka białe pilnie skrzydłami pootulała. I zagadała do dzieci:

- Czego tu... czego tu chcecie? Idźcie sobie do swej mamy!

- Już, kokoszko, uciekamy.

Biegąc do mamy z daleka wołały:

- Slicznieśmy jajeczka pomalowały!

- Będą z nich piękne kurczęta!

- Ja dobrze swoje kraszanki pamiętam.

- Gdy się z moich kurczątką wychylą, będą

mieć na skrzydłach kwiaty i motyle!

- Moje za to będą w zielone gałązki!

- A moje w promyczków wiązki,

- Moje mieć będą złote kropeczki,

- Moje z czubkiem czerwonym troszeczkę,

- Moje w niebieskie łatki!

- A moje w różowe kwiatki!

Opowiadały, opowiadały, aż się przy mamie brzydko posprzeczały.

Rozgniewała się Hanka wówiąc o swoich kraszankach, że są one piękniej malowane, że daleko brzydsze wymalował Janek.

A on aż się spłakał, aż tupał nóżkami, że nie się nie zrówna z jego kraszankami! Że on się postarał tak pięknie malować, że się ze swoimi siostra może schować! I jego kurczątką będą takie piękne, że podobnych na świecie nigdzie nie znajdziecie.

Słuchała mama tej sprzeczki, słuchała, wreszcie do dzieci smutno powiedziała:

- Bardzo mi przykro, Halinko i Janku, żeście mi zrobiły taką niespodziankę. Byłyście zawsze dobre i miłe, aleście się teraz brzydko pokłóciły. Poczekajcie dzieci, poczekajcie troszkę, aż kurczątką z jajek wysiedzi kokoszka, wtedy się oboje zaraz przekonacie, jakie to kurczątką z swych kraszerek macie.

- Poczekajmy - mówi Janek.

- Dobrze - mówi Hala.

I czekały.

Co wieczór, co rano zaglądał do kojca Janek; a choć się kokoszka wciąż bardzo gniewała, Hala też często spojrzeć przybiegała:

- Może się kurczątką właśnie wylęgają?

- Czy piękne ozdoby na swych piórkach mają?

Czekały... czekały... dni za dniami mijały.

A biała kokoszka wciąż na spacer wychodziła troszkę i potem prędziutko do kojca wracała.

Aż jednego ranka mama powiedziała:

- Nie odchodźcie nigdzie od domu daleko, dziś będziemy wylęgania się kurczątek czekać.

Więc pobiegły dzieci do białej kokoszki!

I zaledwie sobie odpoczęły troszkę po tym szybkim biegu, po tym wielkim pędzie, przysiadły w kąciku, czekają, co będzie?

A kokoszka biała też pilnie czekała.

Wtem...

patrzają dzieci...

pęka skorupka jedna...

druga...

trzecia...!

A z nich na początek wychylają się główki trzech... żółtych kurczątek!

A potem długo... długo... pękały skorupki jedna za drugą...

i ta - w listeczki,

i ta - w gałązki,

i z motylkami,

i w promyczków wiązki.

I ta - w zielone kropeczki,

i ta z czubkiem czerwonym troszeczkę,

i - w niebieskie łatki,

i - w różowe kwiatki...

Patrzy Janek na Halę, a Hala na Janka:

- A to śliczna niespodzianka!

Przecież się kurczątką powylęgiwały i z tych malowanek, i z jajeczek białych, ale.. wszystkie żółte, niby złote kule, wszystkie się do białej kokoszki tulały, a ona taka bardzo szczęśliwa, wszystkie troskliwie skrzydłami okrywa.

Pobiegły dzieci prędziutko do mamy, wołają głośno:

- Bardzo przepraszamy, żeśmy się tak brzydko wtedy pokłóciły!

- Już wszystkie kurczątką z jaj powychodziły. Ale i z tych białych, i z tych kolorowych wykłuły się wszystkie śliczne, jednakowe!

- A puszyste takie, niby złote kule.

- Wszystkie się do białej kokoszki już tulały, a ona siedzi bardzo szczęśliwa i wszystkie troskliwie skrzydłami okrywa.

- A z tych kraszerek, cośmy malowały, tylko potłuczone skorupki zostały.

- o -

## O DUSZKU - PIECUSZKU.

Nie za górami, nie za lasami, tylko tu u nas między polami mieszkał maleńki duszek; a, że bardzo lubił ciepło, miał imię: Piecuszek.

Zimą, to do żadnej roboty nie miał Piecuszek najmniejszej ochoty, ale za to przez wiosnę i lato uganiał Piecuszek za pszczołkami, żeby pilnie słodki miód zbierały, biegał za żuczkami, żeby sobie sukienek w locie nie poszarpały.

Do każdego kwiatka zaglądał, czy mu wygodnie na gałązce, czy mu przez listki dobrze słońko widać. Na każdym listku przysiadał i wiosenną bajkę opowiadał. Każdego korzonka musiał spytać, czy mu wygodnie pokarm z ziemi chwytac.

Tu pomógł,  
tam poprawił,  
tu przesunął,  
tam przestawił

i tak dokoła, dokoła pracował w pocie czoła przez całą wiosnę i caluskie lato.

Aż przyszła Jesień Żłota, za nią smutna Pani Skota i zaczęła ta pani obsiewać ziemię deszczu kropkami i bębnić po szarych liściach gromadzie, i szarpać, targać gałęzie w sadzie.

Coraz rzadziej wychodził na świat Piecuszek i tylko wtedy wytykał nosek ze swego ciepłego domku, kiedy się do ziemi uśmiechnęło słońce. Wtedy Piecuszek biegł prędko po łące i zbierał rosy kropelki świecące, i związywał je promykami słońca, i prządk z tego niteczki dłuugie, dłuugie... bez końca!

D A R  
ZWIAZKU POLAKOW WE FRANCJI  
7, Rue Crillon  
LYON (Rhône)



I rozrzucał te nici na wszystkie strony świata, a dzieci, które to widziały, ucieszone wołały:

- O, o, pajęczyna lata!

I goniły za długą, srebrną nicią, i starały się ją w rączki chwycić. Cieszyły się dzieci, cieszył się Duszek.

Ale ranki stawały się coraz chłodniejsze, dni coraz krótsze, mniejsze; a noce to już nawet takie były, że po nich szronem pola się bielily!

Chuchał w łapki Piecuszek, wybiegał na świat trwożnie, rozglądał się ostrożnie, czy gdzie zły Dziad-Mróż nie przycupnął w rowie za krzaczkiem.

I biegł Piecuszek po listkach, i zbierał z nich skrzętnie zieleń wszystką, bo ją musiał do złotych pudełeczek schować, żeby mieć czym wiosną znów listki malować.

I zamiast zielonych, wszystkie listki stały się złote, bo na nie taki blask padał od pudełka, w które Duszek ich zieleń poskładał.

A niektóre listki były całkiem czerwone: żał im było Piecuszka, że mu z chłodu pokrasniał nosek i broda, więc pokrasniały i one.

A gdy już wszystkim listkom było za zimno na gałązkach, gdy co rano drżały, bo koło nich nocą przechodził mróż biały, Piecuszek je zaczął z gałązek obrywać i het, het, po całym świecie rozsypywać...

I leciały listki z wiatrem, leciały! czerwienią i złotem połyskiwały, a potem cichutko na ziemię się kładły i szeptem smutną bajkę o zimie opowiadały.

A Piecuszek schodził teraz do korzonków i szeptał im cichutko, że teraz zasnąć muszą, że wnet się pola śniegiem przyprósza, wszystko będzie spało, otulone ciepłą pierzynką białą.

Ale prędko znów słońko promyki w świat rzu-

ci i ciepła wiosna z nimi do korzonków wróci.

Słuchały korzonki... słuchały... i cichutko, spokojnie sobie zasypiały.

A gdy inne Duszki włożyły ciepłe kożuszki, po ziemi biegały, i z Piecuszka się śmiały, on się nie dąsał, nie gniewał, kołysankę kwiatom śpiewał, a Duszkom tak odpowiadał:

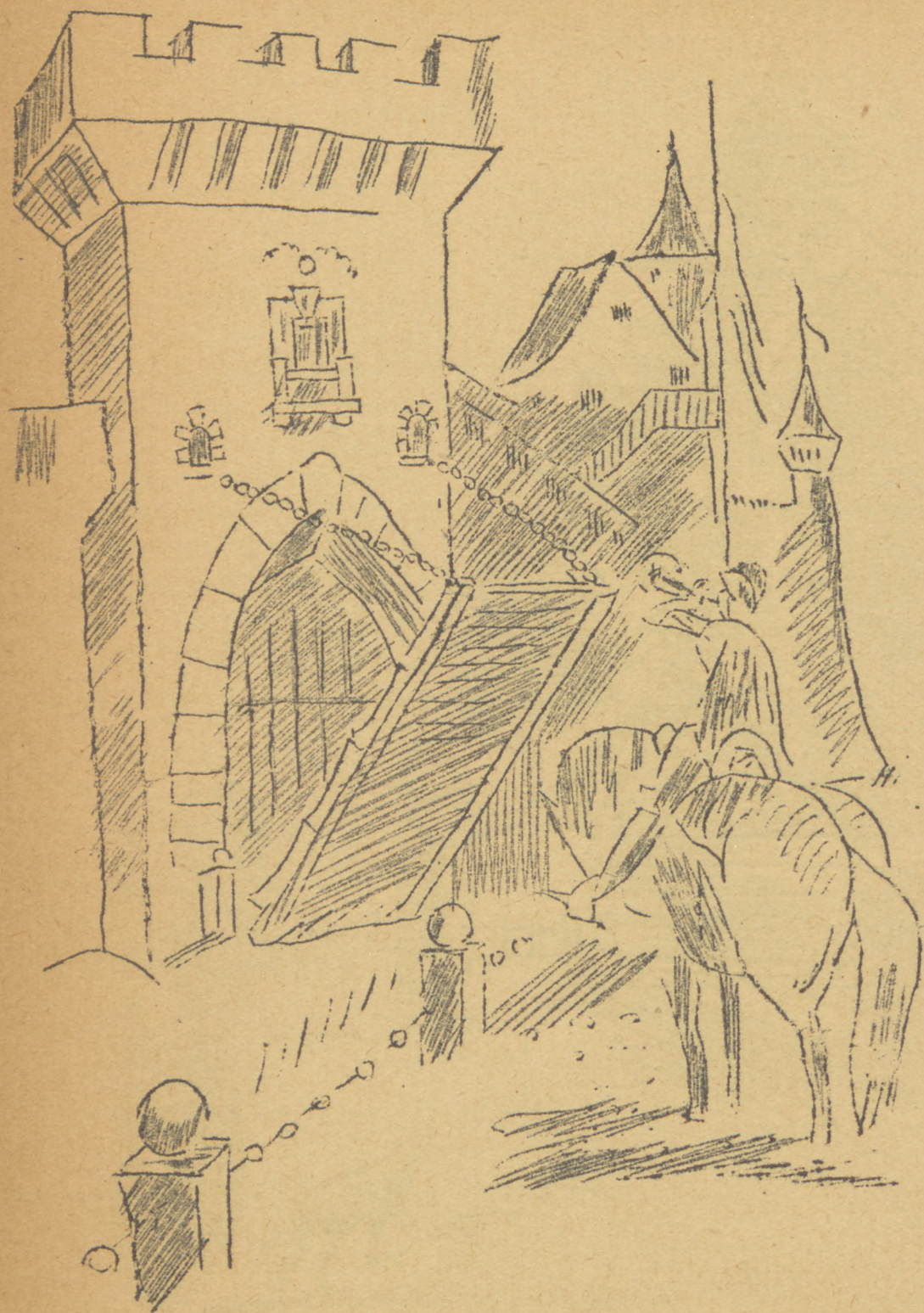
- Wy róbcie swoje - ja - swoje: wiosną znów drzewa w zieleń przystroję, korzonkom pomogę z ziemi ciągnąć soki, kwiatom każę wyjrzeć na ten świat szeroki, ale teraz... brrr! nie chcę się spotykać z Mrozem, i lepiej się już sobie zaraz spać położę.

I schował się Piecuszek głęboko pod ziemię, gdzie drzemały piosnką uspięne korzenie, wszedł do swej chatki maleńkiej, w której miał łóżeczko miękkie, usłane z piórek gąsek białych, co za morze poleciały.

I wtulił Piecuszek zmarznięty nosek głęboko w ten puszek i zasnął sobie tak, jak spały drzewa, i kwiaty, i krzewy.

- o -





## BUDOWALI... BUDOWALI.

Dziki "ludź", który żył przed pradawnymi laty, nie umiał sobie wcale wybudować chaty, jadł surowe mięso, w skóry się ubierał, a kiedy wieczorem do snu się zabierał, musiał wpierw wyszukać jakieś drzewo w borze, by w jego gałęziach do snu się ułożyć. Potem jego brat, czy swat także nie budował chaty, inaczej sobie poradził: do jaskini się wprowadził, rozpalik duże ognisko, z skór ułożył legowisko i w takiej grocie ponurej, ciemnej, było mu mieszkać bardzo przyjemnie. Myślał, co by tu jeszcze takiego uczynić, żeby milej było mieszkać mu w jaskini, więc gdy sobie z kości piękne dłutko zrobił, rzeźbami swej groty ściany przyozdobił; albo narysował na nich różne dziwy i ze swego dzieła był bardzo szczęśliwy.

Jego kobieta, dobra gospodyni, zawiesiła skórą otwór do jaskini, a żeby nocą chłodem nie zawiąło na maleńkie dziecko, co na skórach spało.

Potem, gdy ludzie wszystkie jaskinie pozajmowali, zaczęli się namyślać:

- Co tu robić dalej?

Na drzewach przecież już mieszkać nie chcieli, więc się do ciężkiej roboty wzięli: grzebali w ziemi, grzebali, aż... ziemiankę wykopali.

Lecz tych ludzi w ziemiankach, jaskiniach i grotach dręczyła do słońka, do światła tęsknota: więc myśleli, myśleli, mocno się głowili, aż... z gliny chałupkę sobie ulepili.

Chałupa ta jeszcze drzwi, okien nie miała, ale już nie w ziemi, a na ziemi stała.



Potem jeden dziki "ludź" majster nielada zaczął sobie z grubych bierwion swą chatę układać, dach przykrył słomą, i drzwi wyrzutował, a zamiast okien dziury wypiłował. A te dziury w oknach jego mądra żona przysłoniła cienką, rozciągniętą błoną, wszystkie szczeliny mchem poutykała, na ubitym toku skóry poukładała, a po samym środku, koło pieca blisko uwiesiła śliczną, wierzbową kołyskę, którą ojciec upłócił z gałązek wikliny, żeby w niej wygodnie leżał mały synek.

Lecz w drewnianej chacie z glinianego pieca ciągle dym gryzący przez dach w górę leciał. Chata była kurna, komina nie miała, ale się w niej milej niż w grocie mieszkało.

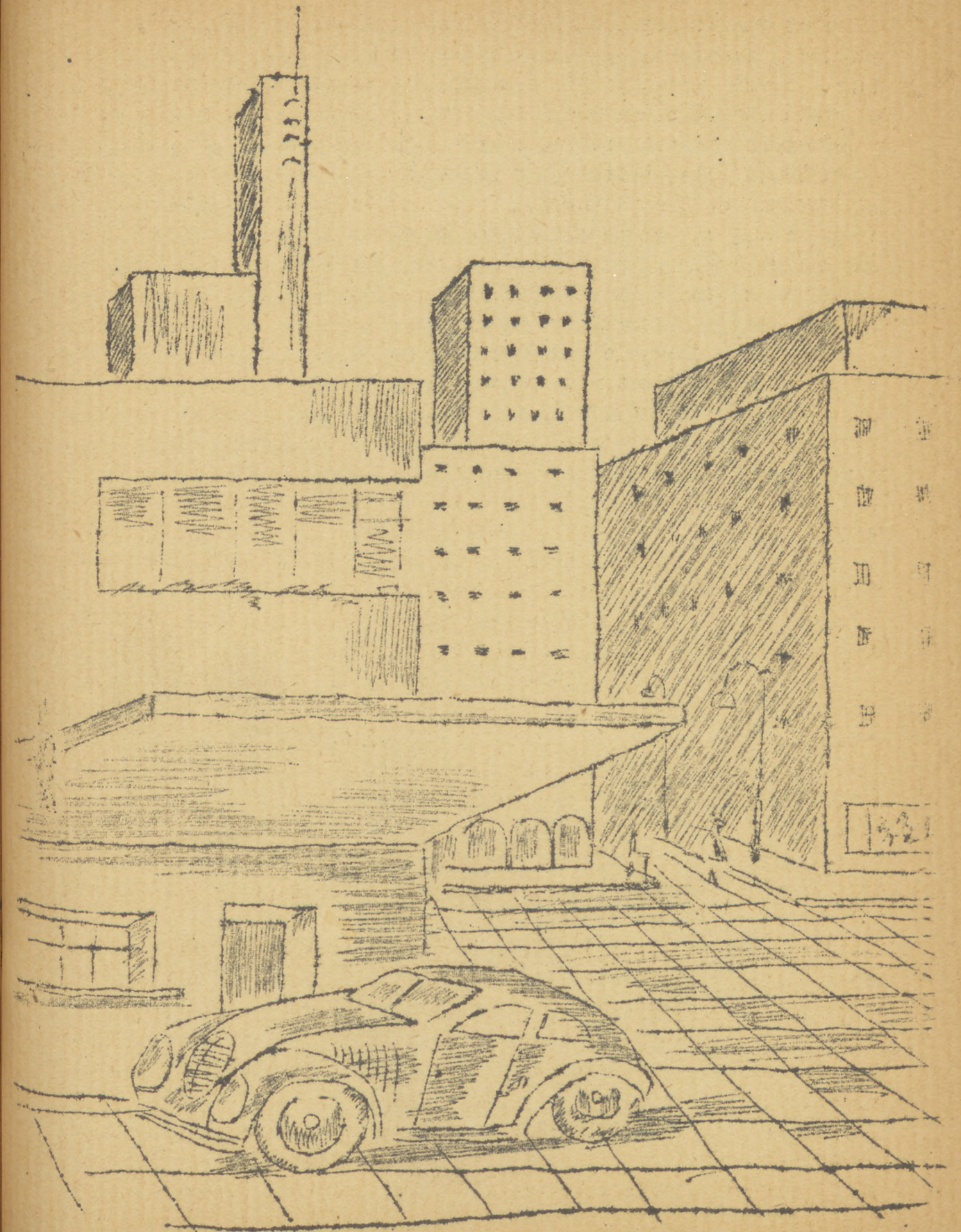
Myślał człowiek, myślał:

- Coby tu poradzić, ażeby dym z chaty jakoś wyprowadzić?

I po długim czasie coś wymyślił sobie: - by dym nie gryzł oczu - komin piękny zrobił, potem i podłogę w izbie sobie sprawił, a przy ścianach ławy dębowe ustawił.

... I mijały wieki, i szły długie lata, a ludzie mieszkali wciąż w drewnianych chatach; umieli je bielić, umieli tynkować, lecz myśleli, jakby coś piękniej zbudować. Więc, gdy do nich przyszedł jeden majster biegły, który z gliny umiał pięknie robić cegły, gdy im opowiedział, że hen, w jego kraju ludzie do budowy wcale drzew nie mają, bo tam lasów mało, zato gliny dużo, więc im do budowy domów cegły służą. Albo też budują tam kamienne domy: ociosują gładko dużych glazów złomy i silną, wapienną zaprawą spajają, te kamienne domy pięknie ozdabiają i żyją w nich długo całe pokolenia, bo mocne są domy z cegieł lub z kamienia.

Więc od tego czasu w dużych grodach ludzie budowali domy w ciężkiej pracy trudzie: Wznosili mury wysokie, robili piwnice głębokie,



wałami grody obmurowywali, fosami z wodą mury otaczali. A przez tę fosę do bramy wprost prowadził ciężki zwodzony most.

Tuż po za murem, tuż po za fosą ludzie mieszkali w maleńkich wioskach, gdzie murowanych domów nie stawiano, tylko jak dawniej, z drzewa budowano.

...Nad wioską i grodem, nad ziemią i światem mijały wciąż wieki, mijały wciąż lata; gród się wciąż poszerzał, gród się wciąż rozrastał, rozwalił swe mury, zamienił się w miasta. Wysoko się wznoszą w nim domy piętrowe i wieże kościelne unoszą swe głowy, a z wieżyc tych dzwony rano i wieczorem rozmawiają z wioską, co stoi pod borem i bieloną ścianą, i słomianą strzechą, śle dużemu miastu serdeczne uśmiechy.

- o -

## O STACHU, CO SIEDZIAŁ NA DACHU.

Choć Stach jest jeszcze nie duży, ale okropnie ciekawy! Zamiast spokojnie przed chatą bawić się z pieskiem-Łatą, Stacho zaraz chciałby wiedzieć:

- Kto to tam za płotem z takim turkotem jeździe?

- Od kogo za drogą sąsiada kurka ucieka, aż gubi piórka?

- I co to tam, niedaleczko biegnie błękitną wstążeczką od spodu zielono podszytą?

- Toć chyba nie żyto?!

Ho, ho! - co to żyto - Stach wie! ale co tamto zielono-błękitne? - nie!

Więc podbiega do płota, a płot złośnik, niecnota kazał chruścianym kołkom tak się mocno zesunąć, tak złapać za ręce, że Stach nie zobaczył nic więcej, tylko wypięte brzuszki płocianego chrustu.

Lecz zaraz sobie poradził: mocno się nóżkami podsadził, na najwyższy się kołek wdrapał, aż za wierzchołek się złapał - i patrzy!

Już teraz wie: i czemu kura biegnąc tak się drze, i kto za płotem przejechał z turkotem...

nie wie tylko jeszcze, co tam niedaleczko biegnie błękitną wstążeczką zielono od spodu podbitą?

wie tylko, że to nie żyto!

Łatwo na płot wejść, trudniej z niego zejść! Chruściane kołeczki łaps! Stacha za porteczki! A ten największy kołek łaps! Stacha za poję świtki!

- Trrr... rozdarły się nitki w szwie!

- Oj, źle!

Matula z Zochą w polu pracuje, kto mu też teraz świtkę zaceruje?

Trzeba poczekać aż do wieczora, aż mama z Zosią powróci z pola.

Czeka Stacho, czeka, a do wieczora daleko! Aż na drogę wyszedł, żeby zobaczyć, czy wieczór już przyszedł. Ale nade drogą jeszcze słońko było, tylko się ciekawie ku lasom skłoniło, jakby tam czegoś za borem szukało. Zaraz to Stacha zainteresowało!

- Kto to tam może być za tamtym borem? Może się słońko tam bawi z wieczorem? - w "chowanek", albo w "łap, kotku, łap sobie" coby tu teraz coś takiego zrobić, żeby móc zajrzeć za pola, za las?

Rozejrzał się Stacho, no i zaraz znalazł!

- O, tam, po strzesze na dach się wgramoli! Wprawdzie mu na to tato nie pozwolił, ale on przecież długo tam nie będzie, tylko się wdrapie, rozglądnie się wszędzie, spojrzy, co słońko chce znaleźć za borem i czy nie widać gdzie blisko wieczoru...

O strzechę stała oparta drabina. Zaraz się po niej zaczął Stacho wspinać, choć te pokrzywy, co rosły dokoła

- Nie idź tam, Stachu, - zaczęły nań wołać!

A że wołaniem go nie odstraszyły, więc nawet trochę mu nogi sparzyły, ale on sobie wchodził coraz wyżej. Wierzchołek dachu coraz bliżej... bliżej, wreszcie się nawet skończyła drabina i Stach po strzesze wciąż wyżej się wspinał.

- Hej, jak stąd pięknie świat widać daleko! i las, i pola, i wioski, i rzekę, i słońko widać, jak się do snu kładzie, i ule widać w sąsiedowym sadzie, i wszystko, wszystko widać dokoła, tylko jednego nie widać: wieczora!

Siadł Stach wygodnie i zaczyna wołać:

- Hej, hej, wieczorze, schodź prędzej na

pola, bo razem z tobą mama z pola przyjdzie, da radę dziurze, co siadła na świtce.

I przyszedł wieczór, uśmiechnięty, cichy, ziemia oparem zaczęła oddychać, słońko za bo-rem swą głowę ukryło, rumianą zorzą niebo roz-żłociło, potem liliowe mgły wstały od rzeki i popłynęły kędyś w świat daleki...

Zaledwie mgły się zaczęły unosić, patrzy Stach, patrzy...

- Idzie mama z Zosią! Prędzej trzeba zejść z dachu, boby się zmartwiły, żeby go tak na strzesze tutaj zobaczyły.

Łatwo na dach wejść - trudniej z niego zejść!

Na strzesze tak ślisko, a drabina nie bli-sko!

Wieczorny wietrzyk mu szepce:

- Ostrożnie!... schodząc z dachu przecież skaleczyć się możesz!

Do drabiny doszedł powoli... powoli... teraz mu drabina zejść na dół pozwoli.

Schodzi Stacho szybko, skacze, jak wróbelek, aż raptem jeden złośliwy szczebelek, gdy się do niego plecami przytulił... wystającym gwoździem rozdarł mu koszulę!

- Oj, co za zmartwienie! ojej, jaka bieda! z cerowaniem sobie mama rady nie da!

A właśnie się mama w progu ukazała.

- Chodź, Stachu, do chaty, gdzież to się schowałeś?

- A to, mamó, widzisz, czekałem wieczora, i czekałem, żebyś powróciła z pola, i czekałem, żeby o czymś ci powiedzieć, ale... popatrz na mnie... to już będziesz wiedzieć!

Popatrzyła mama na świtkę dziurawą; widzi, że koszulę też trzeba naprawić i ze zmartwienia aż ręce łamie! Bo to tyle się człek natrudzi, tyle naharuje, nim na kołowrotku długą nić wy-snuje, potem z niej płótno bieluśkie wytka!...



- Matulu, a skąd się bierze ta nitka?

- Nitka, syneczku, na polu rośnie. Ziemię się pięknie orze o wiosnie, rzuci się ziarno, gładko zbronuje, a za dni kilka już len kiełkuje. Korzeń mu karmi spulchniona gleba, a główka patrzy prosto do nieba!

- O, widzisz, synku, tam, niedaleczko, to, co zieloną biegnie wstążeczką, u góry mieniając się tak błękitnie, przypatrz się dobrze! - to len tak kwitnie!

- Aha, teraz już wiem, że ten błękitno-zielony pasek - to len, ale gdzie, mamu, ta nitka?

- Nitkę, syneczku, trzeba sprząść i wytkąć, ale przedtem jeszcze trzeba len rwać i dobrze mu wyschnąć dać.

A Stach znów swoje:

- Aha, no i co? -

- Gdy się lnu paczki wysuszą, wyłocą, wtedy się snopki z nasionek obija. Potem się moczy, znów suszy i trzepie coraz mocniej, coraz lepiej! Lecą, lecają spod międlicy paździerze, łapie je psotnik wiatr i niesie daleko w świat. A len się staje coraz złocistszy, coraz piękniejszy; bo coraz czystszy. Potem len trzeba pięknie wyczesać, niby warkocz Zosi; tak pięknie wyczesany do izby się wnosi i układa na kądziel, na kołowrotku...

- I gdy ty, Stachu, spać będziesz słodko, ja będę przędła w zimowe noce. Potem warsztat tkacki w izbie zaklekoce, po osnowie, jak myszka pobiegnie czużenko, a ogonkiem tej "myszki" będzie nitka cienka.

- Tak się będzie splatała za niteczką nitka i tak się też długi kawał płótna wytką.

- A wiosną, synku, raniutko na rosę wytkane płótno na łąkę wyniosę. Gdy już w nim słońko wybieli każdą nitkę, można będzie uszyć koszulę, czy świtkę.

Stachowi się ta cała historia świtki bardzo

podobała, obiecał też mamie, że się będzie starał, żeby się już świtka nigdy nie rozdarła.

Ale, że był jeszcze bardzo mały, i, że go tak wszystkie rzeczy interesowały, więc... matula, gdy z pola wieczorem wracała, to świtkę, to koszulę wciąż mu cerowała.

- o -

#### JAK LIS KITA O DROGĘ DO KURNIKA PYTAŁ.

W cichym borze, w ciemnym borze mieszka sobie jak kto może.

Pod korzeniem starej sosny, gdzie jałowca krzaki rosły, wygrzebał sobie wygodną norę lis Kita. Co dzień późnym wieczorem wychodził chyłkiem ze swego mieszkania i szedł do boru na polowanie. Skradał się cicho, węszył, myszkował, a kiedy sobie coś upolował, wracał do nory, zdobycz swą zjadał i najedzony spać się układał.

Bały się Kity małe zajączki, gdy wychodziły hasać na łączkę, bały się także i kuropatwy, bo przecież uciec przed nim nie łatwo.

Syty był Kita, tłusty był Kita, codziennie dużo zdobyczy chwytął, toteż się z czasem tak rozpanoszył, że królem Kitą sam się ogłosił.

Raz, kiedy jego królewska mość polowania miał już dość, przyszedł odpocząć do nory, a przed samym jej otworem w krzaku jałowca sroca siedziała, co wszystkie plotki w lesie zbierała. Zaraz zaczęła ciekawą rozmowę:

- O królu Kito, wiesz, co ci powiem? Żal mi cię, że się bardzo mordujesz, nim na kolację coś upolujesz. Nachodzisz się, nawęszysz, ugonisz się, udręczysz i coraz częściej z niczym musisz wracać.

- Ach, moja sroczo, ciężka jest ma praca! Ale nie mam rady na to. Ty po świecie wszędzie latasz, pomóż mi znaleźć takie mieszkanie, żeby nie musiał za zdobyczą ganiać.

A sroczo na to:

- Za borem, za górką jest jedno takie duże podwórko, a na podwórku - co tu dużo gadać! -

chodzi ptactwa całe stado: i kokoszki czubate, i indyczki drogiate, i kaczki-kwaczki, i perliczki-płaczki. Bez liku jest ich, bez liku! Zamieszkał przy tym kurniku, a będziesz co dzień miał ucztę wspaniałą, jakiej twe oko jeszcze nie widziało.

Po uszy się oblizał chytry Kita i dalej sroczkę zaczął pytać:

- Czy chałupa daleko od kurnika stoi? Bo widzisz, moja sroczko, ja się ludzi boję i wolę od nich być jak najdalej. Jeszcze rodzice mi opowiadali, że na mojego prapraprapradziadka ludzie uknuli okrutną zasadzkę: dymem go z nory wykurzyli, krzykiem go z nory wypłoszyli i gnali go, gnali, omal nie złapali.

- A za co?

- Hm, za... gąsek gromadę, którą im praszczur mój pozjadał. Ale i cóż się tak wielkiego stało? Toć nie odrazu zjadł gromadę całą, tylko, przez lato, przez całe wakacje, brał sobie po jednej gąsce na kolację. Nie lubię ludzi! Wolę ich unikać. Więc czy daleko chata od kurnika?

- Chata? Daleko stoi w sadzie, wąziutka ścieżka do niej prowadzi. Nocą w tej chacie śpiących ludzi największy hałas nie obudzi. Nim twą wizytę spostrzeżą, nim do kurnika dobiegną, ty złowisz sobie najtłuszcza perliczkę, gąskę-bielaskę lub pulchną indyczkę. Mówię ci, Kito, dłużej nie zwlekaj, czeka cię droga bardzo daleka: trzeba wyjść z lasu, ominąć trzy pola, przepłynąć rzekę, którą widać w dole, potem trzy razy podchodzić pod górkę, dopiero dojdiesz do tego podwórka.

Sroczka gadała, Kita ślinkę łykał, a gdy na chwilę powieki przymykał, w oczach mu cały kurnik stał jak żywy.

- Toż to dopiero tam będę szczęśliwy! Założę sobie w pobliżu mieszkanie, co dzień na obiad, albo na śniadanie zjem tłustą kurę,



a potem, wieczorem, bielutką gąskę ze stada wybiorę... - tak sobie myślał i wciąż ślinkę łykał. Potem do nory wejścia pozamykał, klucze pod korzeń starej sosny schował i... do kurnika śpiesznie powędrował.

Odetchnęły wszystkie zwierzątka, gdy do najdalszego zakątka lasu doszła wesola wiadomość, że w świat wyruszył Król Kita Jegomość!

A on tym czasem szedł borem, szedł lasem, przysiadał sobie na ogonie czasem. A on tym czasem szedł lasem, szedł borem, aż wyszedł z lasu na wsiowe ugory. Tu biegły ścieżki w cztery świata strony. Stanął bezradnie lis-Kita strapiony: na którą tu by teraz wejść ścieżynę, ażeby celu drogi nie ominąć?

Na skrzyżowaniu czterech drożyn rosła leszczyna. Listki ku górze uniosła i, mrużąc oczy, z słońkiem rozmawiała, niskim ukłonem wietrzyk pozdrawiała, na listki wilgoć deszczową łowiła, a korzonkami z ziemią się łączyła. Popatrzył Kita, zrobił słodką minę:

- Moja leszczyno, pokaż mi ścieżynę, która mię prosto przed kurnik powiedzie.

- O, nie, mój Kito, tego ci powiedzieć nie chcę, zapytaj o to wiatr w polu, ja ze słończkiem porozmawiać wolę.

A właśnie mijał ich wiatr roztańczony.

- Mam ci pokazać, w którą masz iść stronę? Znajdziesz sam drogę, gdy dobrze poszukasz, wskazaną ścieżkę odnaleźć nie sztuka! Podskocz, zatańcuj, tak jak ja, wiatr w polu! Siedzieć nie lubię! Kozły fikać wolę!

Zanim zrozumiał Kita, o co chodzi, ze śmiechem w pole pomknął wiatr-dobrodziej i rozchotał się tam, rozswawolił, krzycząc do Kity:

- Szuuuuukaj wiaaaaatru w pooolu!

- Ha, skoro nikt tu nie chce radą służyć, trzeba mi chyba drożynę wywróżyć!



Wyrwał z ogona jeden rudy włoszek.

- Teraz go szybko do góry uniosę, a w którą stronę włoszek poszybuje, tą dróżką ja też za nim powędruję!

Posłyszał wietrzyk, jak lis mruczał sobie.

- Czekałże - myśli - ja ci figla zrobię!

Podbiegł cichutko i pochwycił włoszek.

- Idźże tą ścieżką, gdzie ja go uniosę!

Zakręcił włoskiem raz w prawo, raz w lewo, potem go uniósł wysoko nad drzewa, potem w pajęczą przędzę go omotał, w krzaku leszczyny śmiechem zachichotał:

- Kito - chytrusie, widzisz, jak pomogłem pięknie wywróżyć, w którą masz iść drogę?!

Podumał Kita, poskrobał się w ucho.

- Trzeba mi chyba swego nosa słuchać. Pójdę przed siebie, niech on mnie prowadzi, dotychczas zawsze nos mi dobrze radził.

I ruszył w drogę.

A właśnie pod borem zaczęło słońko gawędzić z wieczorem: o sprawach ziemi mu opowiadało, klucze do nieba na noc powierzało. W ostatnich blaskach wieczornego słońca zobaczył Kita osadę leżącą w cichej dolinie, przy wąskim strumyku, więc ucieszony w tę stronę pomykał.

Poznało słońko rude futro lisa.

- Cóż to, jak widzę, tu polujesz dzisiaj? Mało ci było brać łupy w swym borze? Aż tu trafiłeś! przyznaj się, a może idziesz do wioski na dzisiejsze łowy?

Kita pokornie pochylił w dół głowę i krętem-mętem coś tam zaczął bąkać:

...że... się właściwie pierwszy raz zabłąkał, że... zmylił drogę. że... poplątał nogi, że... go tu jakiś znęcił zapach błogi, że... wyszedł słuchać śpiewania słowika, że... gdzieżby on tam śmiał szukać kurnika!

Lecz słońko dobrze znało chytrą Kity, więc go nie chciało o nic więcej pytać, tylko

na chmurkę wesoło mrugnęło i coś do ucha jej szeptać zaczęło. Chciał tę rozmowę lis Kita zrozumieć, ale wiatr w krzewach zaczął głośno szumieć, więc nie podsłuchiwał odpowiedzi chmurki, tylko podchwycił jeden wyraz: "Burkiem". Potem się słońko jeszcze usmiechnęło i za skraj lasu zapadać zaczęło, a mała chmurka z pośpiechu różowa zaczęła szybko ku wiosce wędrować.

Chmurka szła górą, a Kita szedł dołem, chmurka szła prosto, za to Kita kołem obchodził wioskę, powoli się skradał, za krzak, za kamień ostrożnie zapadał; więc też nie słyszał z kim chmurka gwarzyła, gdy się nad wioską niziutko schyliła.

A noc tymczasem swe rzędy zaczęła: wieczornej rosie bramy odemknęła, zgasła zorze, gwiazdy zapaliła, i kołysankę cichutką nuciła. Zamknęła kwiatów kielichy pachnące.

- Spijcie - nuciła - aż powróci słońce.

I spało wszystko, bo tak nocka chciała.

W polu, w ogrodzie, w sadzie wszystko spało. Zasnęły drzewa, zasnęły pisklęta, tylko czuwała nocka usmiechnięta.

Cichutko Kita stawiał swoje łapy. Nastroszył uszy. W przód wyciągnął chrapy i węszył miłe zapachy z kurnika, i coraz bliżej, bliżej się przemykał. Leciutko płotek niziutki przesadził, wprawdzie ogonem o kołek zawadził, ale cóż ogon w takiej chwili znaczy, gdy Kita właśnie wyraźnie zobaczył, że kurnik tuż, tuż, tylko sięgnąć łapą! Najtłustszą gąskę można będzie złapać. Wprawdzie zamknięte drzwiczki, ale co tam! żeby większego nie było kłopotu! zaraz się norę przekopie, raz, dwa, trzy! i będzie gaska tłusta, jak się patrzy!

Jak zaczął grzebać to w wielkim zapale jegomość Kita nie posłyszał wcale, że się ktoś zbliża od strony podwórka. Był to pies, Burek,

do którego chmurka, gdy się nad wioską nisko pochylała, coś tam mówiła, przed czymś przestrzegała. Więc wierny Burek, gdy już wszystko spało, obchodził pilnie gospodarkę całą. Widział, jak Kita przez płot się przemykał, widział, jak podkop robił do kurnika...

- Czekażże-warknął - ja ci dam nauczkę! Nie będziesz więcej po wiosce się włóczył! Zaczciało ci się zjeść kurę na grzędzie? Czekaż, zobaczysz, jak ci ciepło będzie!

I cicho, cicho... tapu-tapu-tapu... Lis się zagrzebał już po tylne łapy, jeszcze ostatni miał zrobić wysiłek... Wtem... coś za ogon mocno go chwyciło!

Szarpnął się Kita w tę i w tamtą stronę. Jakże tu z własnym wojować ogonem, za który coś go z podkopu wywleka? Nie ma co czekać! Wielki czas uciekać!

Wysadził z nory łeb i poczuł ciarki, bo mu nad samym uchem Burek warknął:

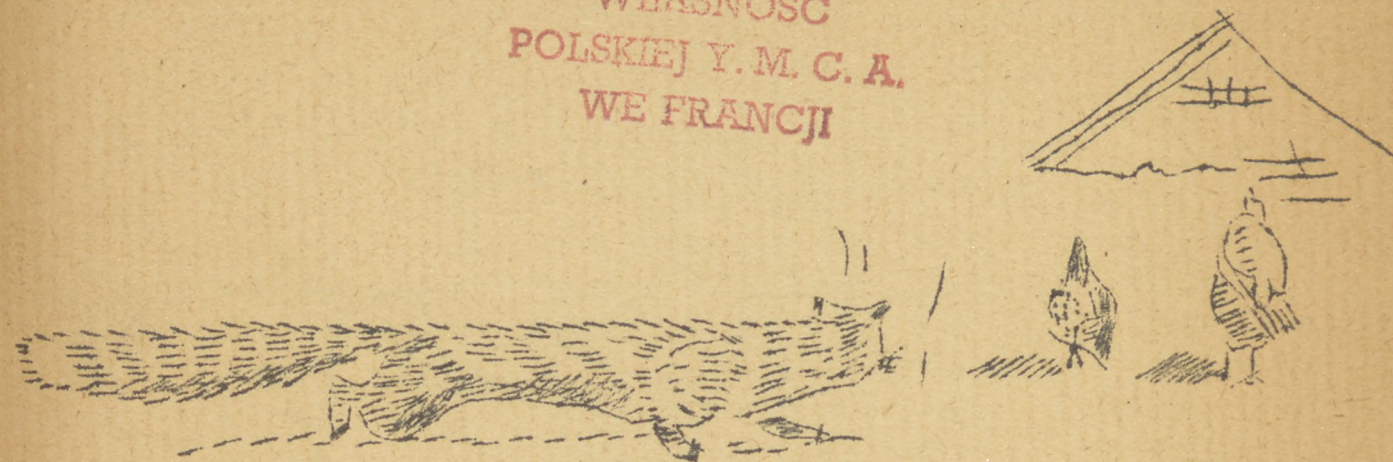
- Mam cię, nie puszczę, nie ujdiesz mi Kito, o cel wizyty nie będę cię pytał, widziałem twoją pod kurnik wyprawę, mam cię i zaraz z tobą się rozprawię!

Szarpnął się Kita raz, drugi i trzeci! Kłaki z ogona zaczęły mu lecieć! Wreszcie się wyrwał i biegł, co sił w nogach! Krzaki, nie krzaki - droga czy nie droga, byleby prędzej, byleby najdalej, bo mu psy wiejskie na karku siedziały. Zbiegły się wszystkie na wołanie Burka, z każdej zagrody, z każdego podwórka, zawrzały chórem ze wszystkich podwórek, ale najgłośniej ujadał sam Burek:

- Hau-hau-hau! Ham-ham-ham! Jak cię złapię to ci dam! Ham-ham-ham! Hau-hau-hau! Jużem Kite w zębach miał! Pędźcie tu, ja pędzę tam! Hau-hau-hau! Ham-ham-ham!

- Gnajmy go, gnajmy! chyżej, chyżej, chyżej! Wieś coraz dalej, a las coraz bliżej...

WŁASNOSC  
POLSKIEJ Y. M. C. A.  
WE FRANCJI





Rwał Kita polem, co tylko miał siły, wreszcie go krzewy leśne zasłoniły. Odsapnął z ulgą:

- Teraz się nie boję!

Klucząc po lesie zatarł ślady swoje i coraz dalsze było psów szczekanie...

Tak się skończyło Kity polowanie.

- o -

K O N I E C

Dotychczas nakładem "Biblioteki Polskiej" wyszły następujące książki, które można nabyć po niżej podanych cenach.

1. J. Słowacki "Anelli" . . . . . 0.50
2. " " "Genezis z Ducha" 0.50
3. "Zbiór Węgierskich Pieśni Ludowych"  
opracowany przez "Bibliotekę Polską"  
/tekst polski i węgierski/. . . . . 1.-
4. K. Tetmajer Wybór poezyj . . . . . 0.60
5. Z. Krasiński "Nie-Boska Komedia" 0.80
6. J. Kasprówcz Wybór poezyj 0.90
7. St. Vincenz "Na Wysokiej Połoc-  
ninie" /w wyborze/ . . . . . 1.50
8. C.K. Norwid "Promethidion" . . . . . 0.60
9. H. Sienkiewicz "Dzielny Żołnierz"  
/książka historyczna dla młodzieży  
z powieści "Pan Wołodyjowski"/. . . . . 1.-
10. M.G. Ławrukianiec "Księżycowa Bajka"  
/książka dla dzieci/. . . . . 0.80
11. Wł. Łoziński "Madonna Busowiska" 1.20
12. M. Porazińska "W Wojtusiowej Iz-  
bie" /9 opowiadań dla dzieci z rysun-  
kami/. . . . . 0.80
13. St. Żeromski "Popioły" /wybór  
z pierwszego tomu/ . . . . . 1.80
14. M.G. Ławrukianiec "Opowiadania"  
/książka dla dzieci z rysunkami/ . . . . . 1.50

Uwaga: Wydawnictwa już wyczerpane:

1. Ewangelia św. Jana
2. Z. Rogoszówna "Dzieci Pana Majstra"  
/książka dla dzieci/
3. "Rocznik Polski" Kalendarz Polaka na  
Węgrzech na rok 1942.

Kupując książki "Biblioteki Polskiej" tym samym umożliwiasz druk następnych książek.

Rysunki Janusza Z.

Graficznie wykonał Czesław Postupański.


**D A R**  
ZWIĄZKU POLAKÓW WE FRANCJI  
7, Rue Crillon  
LYON (Rhône)

Felolős kiadó: Jankowska Maria.

Készült házi sokszorosításban: "Biblioteka Polska w Budapeszcie"  
/Lengyel Könyvtár/ Budapest XIV, Erzsébet királyné útja 77/b  
11, 3.



70v

Biblioteka Główna UMK  
  
300045118924

**D A R**  
ZWIĄZKU POLAKOW WE FRANCJI  
7, Rue Crillon  
**LYON (Rhône)**

**WLASNOSC**  
**POLSKIEJ Y. M. C. A.**  
**WE FRANCJI**

Arch. Emigracji

Biblioteka

Główna

UMK Toruń

1037106

Biblioteka Główna UMK



300045118924